13,000 abonentów!

Nr. 8. Rok VII.

Poznań, Niedziela dnia 22-go Lutego 1903.

PRACA

Tygodnik illustrowany.

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 m., na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dol. 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 39.

Telefon Nr. 1246. Telefon Nr. 1246.

Do braci włościan!

Z serdecznem napomnieniem zwracamy się dziś do Was, bracia Włościanie, z napomnieniem, które streścić możemy w tych kilku słowach: „*Brońcie praw waszych! Brońcie praw narodu waszego!*"

Coraz częściej bowiem nadchodzą wieści z tej lub owej strony Księztwa, że w tej a w tej gminie polscy włościanie albo przez niedbalstwo i brak odwagi cywilnej, albo też dobrowolnie dopuścili do tego, że jakkolwiek stanowią w gminie znaczną większość, *wójtem czyli sołtysem wybrany został Niemiec.* W kilku gminach stała się nawet rzecz trudna do uwierzenia, *że polscy włościanie sami, własnemi głosami Niemca sołtysem obrali!!*

Wieści te wywołały wielkie a słuszne oburzenie w całem społeczeństwie polskiem zaboru pruskiego; w dwóch innych zaś zaborach Ojczyzny naszej bolesne rozczarowanie. „Tak więc — pisano tam w gazetach — bronią praw swoich i praw narodu ci włościanie, którymi gazety poznańskie tak się chlubią jako *dojrzałymi narodowo i politycznie obywatelami, jako podwaliną polskości w dzielnicach tamtejszych.* Widocznie — rozumowano dalej — było w tych pochwałach dużo przesady, a *włościanie tamtejsi bynajmniej jeszcze nie są tak świadomi narodowych obowiązków swoich, jak to o nich głoszono.*

I czyż dziwić się można, że tak was sądzą surowo, czyż można brać za złe te cierpkie słowa? Bynajmniej!

Nie myślcie, bracia Włościanie — że nasza „Praca" nie zna lub nie chce uwzględnić trudnego położenia waszego. Znamy je dobrze i bez powodu was nie potępiamy i nie napominamy. Jesteśmy bardzo dla was wyrozumiali, a na dowód tego przytoczymy najpierw wszystko, co dziwne postępowanie włościan w owych gminach *wytłomaczyć* może. Nie posądzamy ich bynajmniej *o złą wolę*, o rozmyślne wyparcie się obowiązków narodowych. Przypuszczamy oto, że ci polscy wyborcy niemieckich przełożonych gminy tak sobie powiedzieli: wybranego na ten urząd Polaka rząd i tak pewnie nie zatwierdzi; a jeźli go zatwierdzi, to cóż on dla polskości zrobić zdoła?

Nic zgoła! Samorząd naszych gmin tak jest ograniczony, że bez pozwolenia władz nic prawie uczynić nie można. Nie mamy prawa ani do *szkoły*, ani do rozporządzania pieniędzmi gminy wedle *naszej* woli. A dalej: może też nikt z polskich członków gminy nie miał by ochoty przyjąć urzędu tego. Wiadomo przecie, że nie jest on rozkoszą. Władze, gdy już z konieczności zatwierdzą Polaka, to tak go kontrolują, tak przytem nieraz nawet szykanują, że ma krzyż Boży z tym „honorowym" urzędem. Musi oto łamać sobie język niemczyzną, musi męczyć się niemieckiemi „berychtami," w dodatku zaś uważa się go niejako za urzędnika *państwowego* i żąda, aby tłumił w sobie uczucia polskie, nie okazywał ich zbyt wyraźnie na zewnątrz, stronił od tego, do czego lgnie jego dusza, jego serce. Więc jeźli na tym urzędzie dla polskości nic uczynić nie można, a ma się z niego tyle kłopotów i męki nawet, więc może najlepiej wcale się go nie podejmować, z góry wybrać Niemca....

Tak może rozumowali ci włościanie, którzy głosowali na Niemca, — no i ze stanowiska czysto *ludzkiego* sądząc — tak bardzo znów tym ich rozumowaniom dziwić się nie można. Któryż bowiem człowiek dobrowolnie naraża się na przykrości?

Cóż, drodzy bracia, *kiedy nam na nasze sprawy publiczne, a do nich należy także wybór wójta — tylko z ludzkiego stanowiska zapatrywać się nie wolno;* tu miarodajnem być może jedynie i wyłącznie *narodowe stanowisko.* To zaś takiego rozumowania w żadnym razie za słuszne i dobre uznać nie może, *lecz musi je nawet stanowczo potępić.*

Wójt czy tam sołtys w naszych gminach nie ma dziś prawie żadnej władzy; to prawda. Bynajmniej atoli nie jest znów pozbawiony wszelkich *wpływów* na sprawy gminne. Przedewszystkiem *reprezentuje* on gminę wobec władz wyższych, daje jej niejako charakter na zewnątrz. Gdy więc gminę reprezentuje *Niemiec*, zaraz

ją wszędzie uważać będą za *niemiecką*, lub bardzo już *zniemczoną*. Sołtys nie może nieraz pokierować sprawami gminy po swej woli, nie może od niej odwrócić naporu niemczyzny, *ale może utrudnić mu dostęp do niej*. W niejednej sprawie głos jego zawsze jeszcze coś znaczy, n. p. przy wydzierżawianiu polowania, przedewszystkiem zaś przy ewentualnym *zamiarze rządu zniemczenia nazwy gminy*. Sołtys Niemiec działać będzie zawsze na korzyść niemczyzny, i nieraz włościanie ani się opatrzą, jak im wsadzi niemieckiego klina do gminy. *Już więc z tych przyczyn nigdy nie należy wybierać Niemca.*

A dalej: „*Jak cię widzą tak cię piszą!*“ Stare to przysłowie doskonale tu da się zastósować. Gdy pan landrat i pan komisarz obaczą, że nie bronicie narodowych praw waszych, że wam obojętnie zupełnie, czy Polak czy Niemiec jest przełożonym gminy, zaraz jeszcze ostrzej dobierać się zaczną do waszej *polskiej* skóry. Wnet zaczną was zasypywać rozmaitemi propozycyami co do szkoły i kościoła, postarają się założyć u was jaki „Kriegerverein,“ zaczną was uszczęśliwiać „familienabendami“ itd. itd. — a wszystko w tym jedynie celu, *aby was zniemczyć, osłabić w was poczucie polskie*. W swych „berychtach“ do władz wyższych zaś powiedzą, że lud godzi się na germanizacyą, jeno „księża, szlachta i redaktorzy“ przeciwko niej go buntują. I gdy potem jaki poseł polski skarżyć się będzie na wyrządzane nam krzywdy, odpowie mu minister: „nie masz racyi, lud polski *lgnie do niemczyzny*, więc nie ma mowy o jakich narodowych krzywdach!“

Pocóż tedy wybieracie *posłów*, gdy im tak utrudniacie obronę waszą?

Nie, drodzy bracia! Tak być nie powinno — bo to jest poniekąd *narodowem samobójstwem*, a za samobójstwo Pan Bóg ciężką wymierza karę. *Kto kocha swą ojczyznę i swą narodowość, swoją wiarę i swój język od Boga mu dany, a przez dziadów i ojców przekazany, ten tak postępować nie może, ten do ostatniego tchu w piersiach bronić musi narodowych praw swoich, wszelkiemi środkami i sposobami, temu nie wolno się kierować ludzkiemi tylko względami, wygodą, spokojem, gnuśnością.* Kto kocha swój język i swoją narodowość, *musi* z ochotą znosić dla nich *wszelkie przykrości* i cierpienia, przed *żadnym* nie wolno mu się cofnąć trudem. Żołnierz za ojczyznę niesie swe *życie* w ofierze; my zaś wszyscy dziś jesteśmy żołnierzami w obronie naszej ojczyzny. Wypowiedziano jej walkę bezlitośną — czyż więc godzi się opuszczać ją w takiej chwili? [1])

Życia jeszcze od was nie wymaga — jeno *odwagi, hartu i trudów*. Więc choć urząd wójta i sołtysa dziś przykry — *żadnemu Polakowi usuwać się od niego nie wolno, bo to także ważna nasza placówka.*

Zresztą, drodzy bracia — nie we wszystkich sprawach jesteście tak skorzy do ustępstw. Bardzo jeszcze rozpowszechniona między wami jest *żyłka do procesów*. O lada ostre słówko ze strony sąsiada, drobną krzywdę na majątku, gotowiście się procesować aż do najwyższych instancyi. Mawiacie przytem: *Nie o krzywdę mi chodzi jeno o moje prawo. Czyż narodowe prawo wasze niżej cenicie jak wasze osobiste?* Lepiej przecież swojemu przebaczyć, a wobec obcego bronić prawa swego *z całą mocą*. Polscy zaś włościanie mają prawo do wyboru *polskiego* wójta lub sołtysa. *Nigdy, przenigdy więc nie należy wybierać na ten urząd Niemca. Nie zatwierdzą wyboru Polaka, trza się zwrócić do wyższych instancyi, trza się bronić conajmniej tak energicznie, jak to umiecie bronić osobistych praw waszych.* Narzucą wam wreszcie wbrew prawu wójta *Niemca* — to już trudno, z przemocą walczyć nie można; do *ostatniej atoli możliwości należy bronić praw waszych!*

Na zakończenie opowiemy wam bajeczkę wschodnią. Pewien sułtan miał dużo *słoni* tak sobie dla własnej przyjemności. Ponieważ utrzymanie takiego zwierza dużo kosztuje, sułtan urządził się wygodnie, rozesłał słonie po gminach, aby one dostarczały tym zwierzętom żywności. Jedna uboga gmina dostała takiego żarłoka, że wkrótce nie miała paszy dla własnego dobytku. „Tak być nie może,“ powiedzieli sobie ojcowie gminy, „trzeba wysłać deputacyą do sułtana, aby słonia zabrać raczył.“ Wysłano więc najodważniejszych, którzy w gminie gardłowali, że „oni już pokażą sułtanowi, co to znaczy, tak ich krzywdzić!“ Skoro atoli stanęli przed obliczem władzcy, wnet opuściła ich odwaga i nie wiedzieli, jak zacząć. „Co? rzekł sułtan — czyście niezadowoleni z mego słonia?“ — O! zawołała deputacya, uląkłszy się oblicza *pańskiego — bardzo, bardzośmy z niego zadowoleni!*“ — „W takim razie — zawyrokował sułtan — dostaniecie... *jeszcze jednego*.“

Bajeczka to tylko, ale bardzo pouczająca. Kto *tak* broni praw swoich dostaje się *z deszczu pod rynnę*. I władzcom i władzom śmiało w oczy *prawdę* mówić trzeba. Wy, drodzy bracia, śmiało więc i wytrwale musicie bronić *praw waszych do urzędów gminnych*, bo skoro raz zaniechacie tej obrony, raz tylko poddacie się dobrowolnie *sile — władze stracą dla was wszelki szacunek* i *jeszcze ostrzej traktować was będą!*

A zatem: brońcie się, brońcie odważnie! Nie poddawajcie się żadnym wpływom tylko *zawsze wybierajcie polskich wójtów*. Inaczej zaszkodzicie sprawie narodowej, a sami na tem *najgorzej wyjdziecie!!*

Narodowiec.

*) To, co powyżej piszemy, odnosi się także do smutnego wypadku, jaki zaszedł w *Gniewkowie* pod Inowrocławiem, gdzie wybrany jednogłośnie prawyborca do sejmu prowincyonalnego gospodarz Polak wyboru nie chciał przyjąć, chyba pod tym warunkiem, że wyborcy zwrócą mu wykłady na podróż do Inowrocławia. Podróż ta kosztuje tam dotąd i napowrot tylko 60 fen.; obrano tedy prawyborcą *Niemca*.“ Red.

Upadek dra Bittera.

Naczelny prezes p. dr. Bitter opuszcza nas...

Musiał zapaść na chorobę bez nazwy, która nawiedza wysokich urzędników, gdy im na zajmowanem stanowisku duszno i niewygodnie. Chorobę swoją nazwał sam p. Bitter w petycyi o zwolnienie z obowiązków trzema imionami: Loehning, Endell, Willich.

Gdy p. dr. Bitter przybył w r. 1899 do Poznania z Opola, hakata witała go z entuzyazmem, bo ustępujący naczelny prezes, baron Willamowitz wydawał im się za łagodnym, a fama z Starej Polski głosiła, że p. Bitter jest to rzeczywiście „ein deutscher Mann“ czyli gnębiciel polskości. Nowy prezes nie zawiódł pod tym względem nadziei, bo rozwięzywał wiece polskie za pomocą tendencyjnie układanych raportów i informacyi, przykładał rękę do wydobywania coraz to nowych funduszów na „uciśnioną niemczyznę,“ rozrzucał pieniądze pomię-

dzy niemieckich kupców i przemysłowców, wyciągających rękę po pomoc, wytwarzał sztucznie konkurencyą polskiemu handlowi, wreszcie podsycał chroniczne niezadowolenie niemieckich katolików przeciwko władzy duchownej, tak iż nie przestają domagać się powiększenia liczby nabożeństw niemieckich, a nawet występował przeciwko niektórym kapłanom polskim. Z tej litanii widzimy jakto gorliwie pracował naczelny prezes „nad wzmocnieniem niemczyzny''. Nikt więc nie może wątpić, iż był to „ein deutscher Mann.''

Aczkolwiek w ciągu 3 i pół rocznego okresu urzędowania zdążył wyrządzić nam szereg krzywd — padł i idzie z kwitkiem.

Niedość bowiem w poznańskich stosunkach dąć w trąbę hakaty, otwierać kieszeń rządu dla wszelakiej tłuszczy kulturträgerów, podżegać rząd do nowych antypolskich ustaw i mieszać się w sprawy Najprzew. naszego Arcypasterza, tu trzeba nadto być zgrabnym, trzeba dyplomatycznie kierować się w mętnych prądach wszechmocnej hakaty, umieć zadowolić i rząd i cały obóz hakatystyczny.

A p. Bitter już wówczas, gdy sprawa wrzesińska przybrała ogromny rozgłos, popadł w podejrzenie, iż nie jest dość zgrabnym. Swieżo zaś rozgłośna sprawa Loehninga zaszkodziła mu niezmiernie, gdyż ministrom narobiła wiele kłopotu i niemałe wywołała rozgoryczenie w niższych warstwach społeczeństwa niemieckiego.

Naczelny prezes potknął się o córkę feldwebla i ostatecznie przewrócił się przez grób landrata Willicha. Gazety narodowo-liberalne i cała żydowska hakata miała mu bardzo za złe, że podał rękę agraryuszowi Endellowi w sporze jego z Willichem. Sprawa ta odsłoniła przed Izbą i Niemcami gospodarkę hakaty i pewien poseł radził ministrowi Hammersteinowi, aby wybrał się w Poznańskie z miotłą dla oczyszczenia stajni z Augiasza i położył kres waśniom Niemców, z których Polacy się naigrawają i drwią.

Opinia publiczna niemiecka domagała się *kozła ofiarnego*, którym stał się dr. Bitter.

Oczywiście my nie ronimy łez za ustępującym prezesem, przeciwnie wołamy skwapliwie: dobrej drogi! — przyglądając się z uśmiechem jak Niemcy wyprawiają za drzwi „wielce zasłużonego względem niemczyzny'' urzędnika. Niechaj ziemia zapomnienia lekką mu będzie!

Któż obejmie teraz ster rządów w Poznańskiem?

Jako następcę p. Bittera wymieniają obecnego szefa kancelaryi rzeszy Conrada, byłego szefa tejże kancelaryi i b. szefa rejencyi w Bydgoszczy Tiedemanna, dalej obecnego prezesa rejencyi bydgoskiej dra Kruse'go. „Posenerka'' wskazuje na dr. v. Stubenrauch'a landrata z Barnim, inni na b. prezesa rejencyi w Poznaniu, a obecnie w Kwidzynie v. Jagow'a, iście krzyżackiego hakatystę.

Na kogobądź padnie wybór, wiemy z góry, że padnie na sługę hakaty a więc jest nam rzeczą dość obojętną czy nowy naczelny prezes będzie nazywał się Conrad czy Tiedemann, bo ten czy ów dla Polaków będzie zawsze — „bitter.'' Po za nim bowiem stanie rząd wrogi nam, stanie wszechmocny rząd w rządzie: hakatyzm, stanie — system, z nienawiści rasowej poczęty a poparty przez krzyżacką bezwzględność, pychę i manią wielkości.

Idzie p. dr. Bitter — pójdą inni!

Z spokojem patrzymy w przyszłość, ufni, że ów dziki system zetrze sobie rogi prędzej czy później.

Quis.

Cześć zacnej pracy!

Odbyte w przyszłym tygodniu w Poznaniu pod przewodnictwem księcia *Zdzisława Czartoryskiego walne zebranie Centralnego Tow. gospodarczego na Wielkie Ks. Pozn.* nową otuchę znów wlało w serca tych, którzy śledzą ciągłość naszej pracy publicznej i wszelkie jej rezultaty. Dowiedzieliśmy się bowiem ponownie, że i w dziedzinie pracy *około utrzymania w ręku naszem ziemi*, tej głównej naszej żywicielki — tej podstawy naszego bytu *nietylko się nie cofamy, nie stoimy bezczynnie w miejscu, lecz kroczymy naprzód śmiało, energicznie i wytrwale*, zgodnie z postulatami czasu i położenia naszego.

Nie tu miejsce zdawać sprawę z wygłoszonych na zebraniach referatów i z dyskusyi, jaka się nad niemi toczyła, gdyż były to rzeczy zbyt fachowe, zbyt obce może dla wielu Czytelników naszych. Stwierdzimy tylko, że odznaczały się one prawdziwie *wysokim poziomem naukowym* i świadczyły chlubnie, w jak rozległej mierze ziemianie nasi zajmują się nietylko polityką ale i teoryą rolnictwa. Co zaś najmilsze zrobiło wrażenie — to poważny udział w tych pracach licznego zastępu *młodszej* generacyi ziemian. Najlepsza to wróżba na przyszłość!

Ze sprawozdania sekretarza Tow. p. dr. Romualda *Rzewuskiego* dowiedzieliśmy się dalej, że „Centralne Tow. Gospodarcze'' w ostatnim lat dziesiątku a mianowicie w ostatnich kilku latach bardzo pomyślnym cieszyło się *rozwojem*. Nietylko walne zebrania Tow., lecz także zebrania Towarzystw filialnych, *powiatowych* dają dowód „coraz dalej postępującej wśród ziemian naszych wiedzy ekonomicznej, przyrodniczej i techniczno-fachowej, oraz potrzeby wzajemnej wymiany myśli i ogólnego korzystania z doświadczeń robionych przez pojedyńczych członków.''

W rozgałęzionej organizacyi i działalności Tow. przybyła nowa latorośl w formie *instytucyi egzaminów dla urzędników gospodarczych*, które się odtąd *corocznie* odbywają podczas wykładów naukowych dla tychże urzędników, na podstawie osobnego regulaminu, opracowanego przez komisyą egzaminacyjną. Te wykłady i egzamina mają dostarczyć większej naszej własności ziemskiej wykształconych odpowiednio do wymagań dzisiejszego stanu rolnictwa urzędników *polskich*, aby nie potrzebowała posługiwać się obcymi, a tak bardzo nam niechętnymi przybyszami. Praca podjęta w tym kierunku *świetne wydała rezultaty*. Tak udział, dochodzący do *125 słuchaczy*, jak gorliwość, z jaką uczęszczano na wykłady — świadczą wymownie, że i w *kołach urzędników* gospodarczych uznano szczerze potrzebę rozszerzania wiedzy fachowej. W roku ubiegłym znów *dziesięciu* urzędników i elewów zdało przepisany egzamin. Maluczko, a do reszty bezpodstawną stanie się wymówka pewnej części ziemian naszych, iż *muszą* brać do pomocy *obcych*, ponieważ między *swymi* nie znajdują odpowiednio kwalifikowanych.

Konserwatyzm, będący dawniej charakterystyczną cechą każdego u nas przedsiębiorstwa rolniczego — ku wielkiej naszej szkodzie, on to bowiem przyprawił nas o stratę wielu tysięcy hektarów, — *znika dziś coraz bardziej*, ustępując miejsca więcej *przemysłowo kupieckiemu sposobowi prowadzenia interesów gospodarczych*, który jedynie zdoła przetrzymać przesilenie dzisiejsze i utrzymać ziemię w naszych rękach. Miejmy też nadzieję, że coraz rzadziej niepokoić nas będą jobowe wieści o nowych stratach ziemi, a coraz częściej dodawać otuchy doniesienia o odzyskaniu chociaż cząstek dawniej straconych obszarów.

Taki sam postęp bezustanny dokonuje się zaś także u naszej *mniejszej własności*, u własności *włościańskiej*. Odczytane na zebraniu sprawozdanie patrona „Kółek rolniczych'' *bardzo*

pomyślne przyniosło nam nowiny. W miejsce dwóch skreślonych „Kołek,“ które upadły głównie dla braku kierownictwa, przybyło nam w Księztwie znów 15 nowych, tak że liczba ich wzrosła już na 243. I to już drugi raz z rzędu przybywa okrągły ich „mendel“. We wszystkich niemal pracowano pilnie, a „wszystkie przytem stany społeczeństwa naszego — jak to z radością konstatuje Patron — z podziwu godną gorliwością łączyły się w tej pięknej pracy około oświaty i podniesienia dobrobytu włościan.“

W gospodarstwach włościańskich widać postęp na każdem polu w uprawie roli, hodowli bydła, sadownictwie, używaniu nawozów sztucznych i machin pomocniczych. W obrębie *„Kółek“ istnieje* już 100 *Spółek mleczarskich,* a gdzie ich niema — napotykać można coraz częściej seperatory. Według sprawozdań wicepatronów — *wszyscy* już członkowie „Kółek“ — a jest ich przeszło 10,000 — zabezpieczają się od ognia, 70 procent zaś także od gradu. Blizko połowa członków prowadzi rejestra gospodarcze.

Są to dane *tak pomyślne,* iż wobec nich milkną wszelkie *obawy* o przyszłość naszą.

Rok ubiegły pomyślną nadto wróżbę przyniósł „Kółkom“ naszym. Pan Patron *Chłapowski* uzyskał od *Leona XIII.* błogosławieństwo dla ludu polskiego, dla „Kółek“ i dla wszystkich tych, którzy w „Kółkach“ dla ludu pracują.

„Pokrzepiony takim sursum corda z ust najwyższego Pasterza, — zakończył patron swój referat — zwracam się do was panowie i zaklinam was, byście prace patronatu całem sercem poparli; byście Kółka wam najbliższe wzięli pod swoją opiekę i swoją troskliwością otoczyli, i nie ustawali w pracy nad ludem. Wszakże Kółka nasze, to nasza chluba — duma naszej wielkopolskiej ziemi. Miałem sposobność przeglądać rozmaite statuta stowarzyszeń rolniczych w Francyi, Niemczech i Włoszech — *takiej instytucyi, jak nasze Kółka, gdzie starszy i oświeceńszy młodszego brata oświeca i ku sobie podnosi, drugiej takiej w Europie niema.* Idźmy więc drogą nam wskazaną, podajmy szczerze i serdecznie rękę włościaninowi, a Pan Bóg może się nad nami zmiłuje i w swem niezmierzonem miłosierdziu nam *wybaczy błędy naszej przeszłości i może nie porachuje nam tych ogromnych obszarów ziemi polskiej, którąśmy lekkomyślnie z rąk naszych wypuścili!*“

My zaś wołamy: Cześć pracownikom, którzy *wczas jeszcze* naprawiają błędy przeszłości i otwierają drogę do lepszej przyszłości narodu!

Ordon.

W sprawie uspołecznienia stanu włościańskiego.*)

(Listy od Przyjaciół.)

I.

Z pod Jeziorek (p. Tiedemanna) d. 9 lutego

Szanowna Redakcyo „Pracy“!

Przeczytawszy w piątym numerze „Pracy“ artykuł zatytułowany „Uspołecznienie stanu włościańskiego“ — ucieszyłem się niezmiernie — iż dzięki Bogu mamy w społeczeństwie naszem szlachetnie myślących ludzi, którzy przemyśliwają nad swymi młodszymi braćmi, dbając o ich dobro duszy i ciała. A że szanowną Redakcyą „Pracy“ prosi ów zacny p. Silesius o otworzenie dyskusyi w tej tak ważnej sprawie, ośmielam się i ja jeden z pomiędzy tego ludu, przez was mężowie dobrej woli umiłowanego, napisać kilka słów bo i ja mam na oku dobro mych współbraci i dobro mej drogiej Ojczyzny

Najpierwszym nieodzownym warunkiem podniesienia ludu jest, jak sądzę, zbliżenie się panów do tego ludu! Niech lud widzi inteligencyą i w kościele i *poza kościołem,* przodującą dobrym przykładem — niech widzi nietylko na zebraniach, ale i po zebraniach, jako swych braci inteligentnych, ale szczerze ich obchodzących, — a da Bóg, że zniknie obojętność ludu względem inteligencyi. Bo dziś lud nieraz spotyka się z obojętnością i pyszałkowatością. — Broń Boże ażebym wymagał poniżenia i upokorzenia wobec ludu — ale potrzeba więcej poświęcenia i pracy dla tego ludu i więcej dobrych przykładów.

Że tak jest twierdzę stanowczo — ponieważ mamy na oko bijące przykłady, owych szlachetnych mężów którzy pracowali i pracują dla nas ludu niezmordowanie. Czyż oni stracili co na swej powadze? Zapewno nie!

A szlachetna ich praca jest zapisana w sercu ludu na wieczne czasy.

Piszę to z doświadczenia. Ja sam mam do zawdzięczenia moją oświatę, którą nabyłem przez czytanie kilku czasopism, jakie teraz sobie zapisuję — pewnemu zacnemu panu — który nie posiadając sam wielkiego majątku, poświęcał niejednego talara na zakupno dobrych książek, ażeby niemi ludek swój kochany obdarzać i szerzyć pomiędzy nim oświatę, służąc mu przytem radą i świecąc *jako katolik* dobrym przykładem.

Pracował on nad ludem przed 40-stu laty, a śmierć nieubłagana za rychło go zabrała. Syn jego wybrany posłem do parlamentu przez lud — którego również ukochał — dał się już we znaki naszym najserdeczniejszym w Berlinie. Mówię o ś. p. Kaźmierzu Chrzanowskim, ojcu p. adw. i posła Bernarda Chrzanowskiego.

Mieliśmy i mamy w naszym narodzie dzięki Bogu mężów pracujących nad oświatą ludu — ale niestety niebrak jeszcze i takich, którzy swem postępowaniem zrażają sobie lud, stronią od wszelkiej z nim styczności, a czasami choć się z nim stykają to tylko na zebraniu, a po zebraniu już nie zbliżają się bliżej do ludu.

Prawda jest, że nieraz gorzką i czarną niewdzięcznością jest zapłata za dobre chęci i pracę — ale miejcie panowie to na pamięci, że tu nie chodzi o jednostki — ale *o ogół cały* — o całe społeczeństwo polskie, dlatego niezważajcie na te wyjątki niewdzięczne — ale zbliżajcie się do ludu — wciskajcie książki i gazetki choćby i darmo pomiędzy biedniejszych i niechętnych, bądźcie dlań bracią przewodnią, kochającą Ojczyznę, a nie uszczuplajcie ziemi przez sprzedawanie na kolonizacyą! Bo nie uwierzycie, jaki to u ludu ból nad bóle, gdy się o czemś podobnem dowie. Świećcie dobrym przykładem jako dobrzy katolicy — a z pewnością Bóg pobłogosławi tej zbożnej pracy Waszej i doczekacie się tej pociechy, iż wstępując do grobu możecie śmiało powiedzieć: *„jeszcze nie zginęła, bo żyje lud polski!“*

Wasz czytelnik.

II.

Wiskitno, d. 9. 2. 03.

Szanowna Redakcyo!

Niech i mnie będzie wolno wziąść udział w dyskusyi, której pragnie Silesius w swym artykule w Nr. 5-tym „Pracy.“ Na pytanie:

Jakim jest charakter naszego ludu mogę odpowiedzieć, że nasz lud jest przygotowany do przyjęcia oświaty narodowej, lecz w odpowiedni sposób

---

*) Umieszczamy dzisiaj dwa listy w tej *zawsze aktualnej i zawsze bardzo doniosłej* sprawie, zwracając na nie uwagę Czytelników. Jest rzeczą charakterystyczną i znamienną, że oba te głosy wychodzą *z ludu,* z czego okazuje się, jak lud nasz sam ceni oświatę, jak łaknie jej, jak *woła o nią do starszej braci!* Listy te, nacechowane ujmującą szczerością i głębokim rozsądkiem, przemówią niezawodnie do serca ogółu.

Redakcya.

trzeba mu ją podawać. Słusznie powiada Silesius, że chłop polski jest „nieufny i chciwy,“ lecz w dzisiejszych stosunkach są to raczej *zalety*, a nie wady, mianowicie gdy chodzi o osoby osobiście nie znane. Zresztą wobec osób znanych, a wpływowych jest nasz lud dosyć ufny. Poziom oświaty naszego ludu *wzmógł się w ostatnim czasie ogromnie*, lecz jeszcze to wcale nie wystarcza. Większa część już zdobyta dla idei narodowej, lecz jeszcze bardzo wiele martwych dusz. Jestem silnie przekonany, że przy energicznej pracy ze strony inteligencyi, da się i resztę uświadomić i zjednać.

W jaki sposób można wykorzenić wady ludu i unarodowić go?

Wiele jeszcze jest wad u naszego ludu, a największą wadą bodaj, to pociąg do kieliszka i procesowania się.

Nad wykorzenieniem tych wad pracują już różni szlachetni mężowie, lecz praca ich nie wydała dotąd pożądanego owocu.

Potrzeba nam kilku takich osobistości, bądź to duchownych, bądź to świeckich, jak n. p. ks. *Kapica* w Tylcach (Tichau), w powiecie pszczyńskim na Górnym Slązku, który piórem i słowem, z największą energią i zaparciem się siebie samego pracuje na tem polu.

Co do unarodowienia ludu, łatwiejsza sprawa. Trzeba tylko użyć sposobu pana Kulerskiego. Wiadomo nam, że pan Kulerski zdziałał przez 9 lat ogromnie wiele, lecz niestety, sam nie podoła od razu całej Polonii w naszym zaborze.

Metoda Kulerskiego polega na tem, że wydaje pismo ludowe bardzo popularne, a dalej agituje za pomocą kolporterów i mężów zaufania po wioskach i miastach poszczególnych na rzecz swej gazety. Gdyby wszyscy wydawcy gazet w ten sposób zajmowali się i zaopiekowali ludem, nie mielibyśmy już nieświadomych. Więcej zatem pism popularnych! Starajmy się, by w *każdym domu była gazeta polityczna*, a znajomość narodowa u ludu znajdzie się. „Przewodnik katolicki,“ co prawda, już nieomal do każdego dostał się domu, lecz by lud *unarodowić* jest za słabym, czy jednostronnym. Tu duchowieństwo nieraz z drogi zbacza, jeżeli zakazuje abonowania innych pism i zaleca, poprzestania na „Przewodniku kat.“ (n. p. ks. Wnuk w Brzóstkowie pod Żerkowem). „Przewodnika kat.“ cenię bardzo; Najprzewielebniejszy ks. Arcypasterz zakładając go, bardzo mądrze sobie obliczył, — ale może on: tylko być kluczem do innych pism.

Czy nie mogłoby powstać towarzystwo mające na celu umoralnienie i unarodowienie chłopa?

Owszem. Bardzo by się przydało Towarzystwo Wiecowe, lecz żywe, a nie śpiące jak w Toruniu. Co prawda Tow. Wiecowe w Toruniu uzyskało już kilkanaście tysięcy elementarzy, lecz ten elementarz dzieci podrą, skoro rodzice nie będą wiedzieli na co im go przysłano. A więc *wieców, wieców, jak najwięcej wieców!* Dalej, zadaniem takiego Tow. Wiecowego powinno by być *zakładanie Towarzystw bądź to ludowych, bądź — rolniczych.* Niestety — utrzymanie takich towarzystw parafialnych jest utrudnione, ponieważ nie mamy wszędzie odpowiednich ludzi na kierowników. Lepszem zatem urządzanie wieców.

Taw. Wiecowe powinnoby posiadać odpowiedni fundusz, by mogło wysyłać mówców na wiece. Tę pracę w myśl Silesiusa powinna rozpocząć inteligencya, i zgodnie ludowi rękę podać. Lud bez inteligencyi nic nie rozpocznie. Słusznie powiedział profesor Badura w Pszczynie do mnie, że *„z winy inteligencyi lud jest ciemnym“*. My zatem kochamy panów, my powinniśmy Bogu dziękować, że jeszcze mamy panów, lecz czyż ci panowie solidarnie pracują nad oświatą ludu? Niestety. Cóż bowiem dzieje się w Prusach Zachodnich?

Pan Kulerski, który tyle zasług położył około oświaty ludu, a lud wdzięczny mu za to, chce go posłać do Berlina. Cóż panowie na to? Oto w możliwy tylko sposób sprzeciwiają się jego kandydaturze. Widocznie ci panowie nie uznają zasług p. Kulerskiego, chociaż pewnie nie są jego pracy przeciwni; ale tak się zdaje, jakby chcieli, by lud był zawsze ciemny i t. d. Postępowanie takie wobec p. Kulerskiego jest to policzek wymierzony ludowi.

Bądź co bądź trzeba się liczyć z wolą ludu.

Adam Mickiewicz powiedział: „Ludu kiedyż ty przejrzysz?“ My zaś w tym względzie możemy powiedzieć: Panowie! kiedyż Wy przejrzycie! A więc wołamy do Was Panowie, podajcie nam rękę, a my tę rękę będziemy ściskać i całować. Dał Wam Pan Bóg sposobność do wykształcenia się, macie dalej zasoby i więcej czasu aniżeli my ludzie od pługa i rydla, a więc popracujcie na chwałę Bogu a na pożytek ciemnej braci, a Bóg Wam za to stokrotnie zapłaci. Coraz to nowe ustawy przeciw Polakom, coraz to nowe środki prześladowania: i my zatem musimy coraz *nowych sposobów używać*, by skutecznie oprzeć się germanizacyi.

Nowicyusz.

Listy galicyjskie.

Kraków, dnia 6· lutego 1903.

Z codziennych pism naszych wiecie już zapewne, że Kołu polskiemu powiodło się wywalczyć w Wiedniu taki kontyngent cukru dla cukrowni galicyjskich, że cukrownictwo nasze uważać można *za ocalone* — ogół zaś spożywać będzie własny *krajowy cukier*. Dowiedzieliście się zapewne także, że z powodu nowego przedłożenia wojskowego, podnoszącego stan czynny armii austro - węgierskiej o 60,000 chłopa rocznie, uzyskało Koło nareszcie stanowcze i rzekomo *nieodwołalne* przyrzeczenie ze strony rządu, iż królewski nasz *Wawel* napewno opróżniony zostanie za lat 3 odnośnie 6: to jest zamek *właściwy* w roku 1906, a reszta zabudowań zamkowych, służących dziś za szpital, w roku 1909. Wówczas też nastąpić będzie mogła tak długo upragniona restauracya tego drogiego sercom naszym przybytku. Dalej uzyskało Koło także wyższe taksy za *podwody*, dostarczane dla wojska. W tym roku więc posłowie nasi z śmielszemi nieco minami wrócą z Wiednia.

Obszerniej o tem rozpisywać się już nie będę. Natomiast dam wam krótki pogląd na *obecny stan naszego szkólnictwa ludowego w Galicyi* — według tegorocznego sprawozdania krajowej Rady szkolnej. Sprawozdanie to odznacza się nie tylko staranniejszym układem, ale i większą *szczerością*, niż dawniejsze. Przynosi też ono nieco *pomyślniejsze* wiadomości z dziedziny szkolnictwa, jakkolwiek o jakimś większym, w oczy bijącym postępie na tem polu zawsze jeszcze nie ma mowy.

Według obliczenia Rady szkolnej mieliśmy w Galicyi w r. 1901/2 około 1,027.000 dzieci w wieku od 6—12 lat obowiązanych do uczęszczania na naukę codzienną. Z liczby tej uczęszczało do publicznych szkół ludowych 698,153 dzieci, a zatem więcej o *28.048*, aniżeli w roku poprzedzającym. *Nie pobierało zaś z tej liczby ani publicznej ani domowej nauki 278.946* czyli 27.1°/₀ wszystkich dzieci w wieku szkolnym w kraju.

Z pomiędzy 480.400 dzieci w wieku od 13—15 lat uczęszczało na naukę dopełniającą w publicznych szkołach ludowych 132.254, *nie pobierało zaś żadnej nauki*, wedle obliczeń samej Rady szkolnej, około *330.951* dzieci. Mamy więc w tej chwili około *609.897* dzieci w wieku od 6—15 lat pozbawionych wszelkiej nauki nie tylko szkolnej, ale i domowej. Gdy zważymy, że roczny przyrost dzieci, pobierających naukę

w szkołach ludowych mało co jest większy od corocznego przybytku dzieci, obowiązanych na naukę codzienną, dojdziemy do smutnego wniosku, że *oświata szerzona przez szkoły ludowe, bardzo małe czyni postępy w walce z naszym analfabetyzmem.*

Całe jeszcze szczęście, że młodzież nasza garnie się coraz chętniej do wyższej oświaty. W roku bieżącym (1902/3) zapisało się do publicznych szkół *wydziałowych* oraz do V i VI-klasy szkół ludowych wyższego typu ogółem 10.599 chłopców (+ 376) tudzież 16.601 dziewcząt (+ 1111) Obecnie zatem mamy w zakładach od czteroklasowej szkoły ludowej wyższych, a więc w szkołach wydziałowych i realnych, w gimnazyach i seminaryach nauczycielskich (z wyjątkiem szkół, sposobiących do zawodów praktycznych) ogółem 38.529 uczniów (+ 2480) oraz 18.087 uczennic (∓ 1289). Ostatnią z tych liczb jest jednak w rzeczywistości znacznie większą, gdyż w sprawozdaniu Rady szkolnej nie uwidoczniono frekwencyi uczennic w wyższych klasach kilkudziesięciu *prywatnych* szkół żeńskich. Otóż, jakkolwiek liczby powyższe nie mogą imponować w kraju o $7^{1}/_{2}$ milionowej ludności, dowodzą przecież, *że poziom oświaty przynajmniej po miastach stale się podnosi.*

Z ogólnej liczby publicznych szkół ludowych i wydziałowych (4398) było w ubiegłym roku 4106 szkół czynnych, a 292 nieczynnych. — Liczba szkół czynnych zwiększyła się zatem w jednym roku o 102.

A teraz — *spamiętajcie sobie dobrze następujące cyfry,* na wypadek, gdyby znów jaki Niemiec zarzucał wam w oczy *„ucisk szkolny Rusinów galicyjskich.“*

Z językiem wykładowym *polskim* było szkół czynnych 2083 (+ 40 *z językiem ruskim 1994 (+ 62),* z niemieckim 29. Jak tu może być mowa o ucisku *Rusinów?* We wszystkich tych szkołach, z wyjątkiem szkół ćwiczeń, było 8668 klas czynnych, a więc o 550 więcej, niż w roku poprzedzającym.

Jest więc postęp niezaprzeczony tak co do ilości, jak i co do jakości szkół. Takiego wzrostu liczby szkół i klas *dawno już sprawozdania Rady szkolnej nie wykazywały.* Cóż to atoli znaczy wobec faktu, że 292 szkół zawsze jeszcze stoi pustkami, że z liczby 5924 gmin wiejskich jeszcze *2260* nie posiada własnej szkoły, że jeszcze *krocie tysięcy* dzieci pozbawionych jest oświaty szkolnej! Daj Boże, ażeby w przyszłych latach i to zmieniło się na lepsze!

Co do *sił nauczycielskich,* to w ogólnej ich liczbie, wynoszącej 8787 było w roku ubiegłym *nauczycieli* 4375 (+ 211) a *nauczycielek* 4412 (+ 253). Stosunek bardzo nieproporcyonalny w kraju, w którym ustawa każe w szkołach wiejskich i małomiejskich przysposabiać dzieci przedewszystkiem *do zawodu rolniczego.* Wobec braku nauczycieli spełniają to zadanie w znacznej liczbie gmin wiejskich *nauczycielki,* bądź jako kierowniczki szkół, bądź jako siły samoistne. W niektórych szkołach „niższego typu“ więcejklasowych uczą *same nauczycielki,* a nawet przy szkołach połączonych z kursem rolniczym, jak np. w Jezierzanach, Chorostkowie, Chłopach, bywa taki stosunek, że na 6 do 7 sił nauczycielskich jest tylko 2 nauczycieli. W Oleszycach w 4-klasowej szkole „połączonej z kursem rolniczym“, uczy jeden mężczyzna i trzy kobiety. Za obecnie płacone pensye trudno bowiem wyżyć nauczycielom.

Tak się przedstawia obecny stan szkolnictwa w Galicyi.

Galicyanin.

Z TYGODNIA.

„System pruski jest systemem sprawiedliwości i wszystkich poddanych jedną mierzy miarą.“ Słowa te wypowiedział w *sejmie pruskim* minister spraw wewnętrznych p. *Hamerstein,* broniąc się przed ciężkiemi oskarżeniami posłów polskich Czarlińskiego i Schroedera. Czy sam wierzy w ich prawdziwość nie wiemy; to atoli pewna, że wielu „wierzących“ nie znalazły one w Izbie. Junkrowie i hakatyści przyklasnęli im wprawdzie — lecz był to poklask obłudny. Oni przecież wiedzą równie dobrze, jak my, jak wygląda ta *„równa miara“* rządu pruskiego wobec Polaków. W uszach posłów polskich zaś brzmiały te słowa jak straszne szyderstwo z prawdy, z naszych krzywd i uczuć. Niedługo też cieszył się pan *Hammerstein* sztucznym ich efektem. Już nazajutrz po ich wypowiedzeniu zabrał w sejmie głos poseł nasz p. *Mizerski* i na jednym tylko przykładzie, ale najświeższym i bardzo jaskrawym wykazał ich bezpodstawność, oświetlił tę „równą miarę pruską.“

„Uszom moim nie wierzyłem — rzekł mówca — gdym usłyszał te słowa — i pytam was, panowie, czy to nie jest przekręcaniem faktów?“ A potem... wytoczył sprawę biblioteki *Raczyńskich.* Omawiał ją obszernie, a że jako syndyk konsystorki dobrze także oczytany jest w biblii, więc sięgał aż do niej po rozmaite przykłady i porównania. Wspomniał mianowicie o znanej historyi, gdzie to prorok Natan opowiadał królowi Dawidowi o pewnym bogaczu, który jakkolwiek tam posiadał stada owiec, w chciwości swej porwał ubogiemu jedyną jego owcę, aby uraczyć pieczenią przyjaciół swoich.

I przytoczył potem słowa *Dawida,* który nie rozumiejąc, że prorok jego samego ma na myśli, bardzo się na ten czyn bogacza oburzył — i dodał jeszcze od siebie, że to królewskie oburzenie słusznem było, bo ów bogacz dał dowód „bezdennego samolubstwa niesłychanej chciwości, grubego cynizmu i podłego usposobienia.“

Izba słuchała tych wywodów mówcy polskiego z zajęciem — może z czemś więcej jeszcze, — a przeciwnicy nasi, nie wyłączając ministra, snać nie czuli się na siłach do odparcia tych „biblijnych wywodów“ — bo *milczeli.* I nikt im nie zaprzeczył, nawet marszałek po dzwonek nie sięgnął i tak to porównanie dostało się dosłownie do roczników Izby — na wieczną pamiątkę „sprawiedliwych rządów pruskich“ wobec Polaków na początku XX. wieku....

A co zaczął poseł *Mizerski,* któremu za tę mowę należy się gorące uznanie, to dokończył ks. Prałat *Stychel* — w tydzień później. Pan Hammerstein z swą teoryą o „równej mierze systemu pruskiego“ był już wprawdzie bezpiecznym przed ciosami tego dzielnego posła naszego, bo dnia poprzedniego uzyskał już od sejmu rozgrzeszenie generalne i pensyą swoją na rok bieżący, za to ciosy te spadały niby roztopiony ołów na głowę ministra sprawiedliwości p. *Schoenstaedta.*

Do jego też wydziału głównie się odnosiły. Mówca polski oskarżał sądy pruskie, że w wielu wypadkach niezmiernie surowe wyroki wydają na Polaków w sprawach politycznych, tak surowe, że sędziów posądzać trzeba, iż ulegają wpływom politycznym. „Nie dziwcie się też panowie, wołał mówca polski, iż ludność polska zupełnie już straciła zaufanie do sądów pruskich.“ Pan minister stanowczo wprawdzie przeczył temu, pod niebiosy wynosił bezwzględną sprawiedliwość pruskich sędziów, lecz miał mimo to pozycyą trudną wobec przytoczonych przez ks. Stychla faktów, gdyby nie . . . ks. *Jażdżewski.* Tak jest, mili Czytelnicy, ks. Jażdżewski dopomógł tu ministrowi do odparcia oskarżeń ks. *Stychla.* „Pan poseł niesłusznie się skarży — mówił minister — boć przecie kolega jego, ks. poseł Jażdżewski sam niedawno z uznaniem wyrażał się o sprawiedliwości prus-

kich sądów.'' I tem oto zamknął usta ks. Stychlowi.

Niestety, nie po raz pierwszy te „lojalne wynurzenia'' ks. Jażdżewskiego stały się w ręku ministrów ostrą bronią przeciwko nam. A potem dziwią się jeszcze niektórzy, że w społeczeństwie naszem wzmaga się żal do ks. Jażdżewskiego. Kiedyż wreszcie zaprzestanie tych niefortunnych występów swoich?

Gdyby nie ten przykry wypadek, moglibyśmy być znów szczerze zadowoleni z rezultatu ataków polskich.

Po za tem nic ważniejszego nie mamy do zanotowania z wewnętrznych spraw niemieckich, chyba to tylko, że nareszcie Niemcy pozbyli się kłopotu z *Wenezuelą*. Dzięki pośrednictwu Ameryki północnej przyszło do ugody w *Waszyngtonie,* na mocy której Wenezuela uznała pretensye niemieckie za słuszne i zobowiązała się pokryć je z dochodów z ceł swoich. Blokada zostanie więc zniesioną — lecz, używając trochę trywialnego przysłowia niemieckiego — *„das dicke Ende kommt nach.''* Tym „grubym końcem'' sprawy będzie *rachunek kosztów wyprawy niemieckiej do Wenezueli.* Ile on wynosić będzie, tego jeszcze nie obliczono; znawcy spraw takich obawiają się jednakże, że koszta te przewyższać będą sumę pretensyi niemieckich do Wenezueli. Prywatni Niemcy otrzymają więc co im się należy, *państwo* atoli znów poniesie *milionowe wydatki!*

Uwaga *Europy* odwróciła się już od tygodnia od tej awantury wenezuelskiej, bo zaprzątnęły ją inne wypadki, mianowicie na *wshodzie bałkańskim;* zbierają się tam naprawdę chmury, które grożą całej Europie wielką burzą. Rewolucyjne komitety *macedońskie* przygotowały już wszystko do powstania tak, że skoro tylko śnieg stopnieje, rozpocznie się tam krwawy taniec z Turkami. A przygotowania te odbywały się niemal jawnie w Bułgaryi pod okiem rządu bułgarskiego. Turcya widząc to, a nie mając przytem najmniejszej ochoty do przeprowadzenia na *seryo* żądanych przez Rosyą i Austryą reform w Macedonii, powiedziała sobie widocznie: „tak czy owak stracę tę piękną krainę — lecz dobrowolnie jej nie oddam. Jeżeli mam ją stracić, to niech utonie wpierw w morzu krwi, niech zamieni się w jedno wielkie pogorzelisko, niech wrogowie moi poznają, że jeszcze kąsać umiem.'' W tym celu zaczęła gromadzić nietylko w Macedonii, ale i nad granicą Bułgaryi ogromne wojska. *Bułgarya* odpowiedziała na to groźbą zmobilizowania dwóch dywizyi własnej armii, równocześnie udała się do mocarstw ze skargą na Turcyą. Skarga ta wywołała niemiłą dla niej ze strony mocarstw odpowiedź. Tak Rosya jak i Austrya zwróciły Bułgaryi na to uwagę, że jeżeli chce uniknąć groźnej wojny z Turcyą, powinna *sama cicho siedzieć,* przedewszystkiem nie tolerować lub popierać ruchu rewolucyjnego w Macedonii. Wówczas już oba te mocarstwa same wymuszą drogą pokojową na Turcyi reformy dla tej krainy. Rząd bułgarski pozornie usłuchał mocarstw, kazał aresztować przywódców ruchu rewolucyjnego, przebywających w Bułgaryi, *Conczewa, Michajłowskiego, Staniszewa,* przyrzekł też strzedz granic swoich, aby z Bułgaryi nie wpadały bandy zbrojne do Macedonii — w cichości atoli dalej ten ruch popiera.

Sytuacya pozostała więc groźna, a łatwo tak się rozwinąć może: Powstanie w Macedonii wybuchnie napewno i doprowadzi do strasznych rzezi, wówczas Bułgarya pospieszy na pomoc mordowanej braci, z czego wyniknie wojna między nią a Turcyą. Do wojny tej wmieszają się *Serbia i Grecya* i od razu cały Bałkan stanie w ogniu.

Jeżeli zaś dojdzie do tego, *interwencya Europy* będzie nieuniknioną. Pierwsze naturalnie wmieszać się muszą w tę sprawę jako najbardziej interesowane *Austrya i Rosya.* W obu tych państwach liczą się też już z taką możliwością i po cichu przygotowują się do niej. Po ich stronie staną *Anglia i Francya,* przeciwko nim jedynie *Niemcy.* Niemcy, za olbrzymie koncesye kolejowe, jakie dostały od Turcyi, są dziś najwierniejszym jej sprzymierzeńcem. I w tym wypadku podniecają ją podobno do oporu. Gdy więc przyjdzie do wielkiej zawieruchy, może rozbić się *trójprzymierze* — a Niemcy mogą znaleźć się nagle wobec wrogiej dla nich koalicyi europejskiej. Skarżą się oni dziś już, że Francya, aby doprowadzić do tego, podnieca zarówno Austryą jak i Rosyą do wywierania nacisku na sultana, do zaostrzenia sprawy macedońskiej...

Wszystko to stać się może — lecz czy się stanie, za to nikt jeszcze ręczyć nie może. Lecz jeźli się stanie, wyniknie z tego katastrofa, która i *na nasze położenie* nie pozostanie bez wpływu.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Najważniejszem bodaj zdarzeniem w ostatnich dniach jest projektowane założenie *nowego towarzystwa wyborczego na Śląsk* i to ze strony „Katolika.'' *„Górnoślązak''* donosi o tem w tych słowach:

> „Z dobrze poinformowanych kół donoszą nam: „Kierownik „Katolika" zamierza założyć nowe towarzystwo wyborcze na Śląsk. W tym celu zwołał już przed 2 tygodniami grono zaufanych ludzi, pomiędzy którymi byli pp.: Dombek, Koraszewski, Szmula, ks. ks.: Skowroński, Robota, Jankowski. Zgodzono się na założenie „Towarzystwa, które ma stać na straży interesów narodowych ludu polskiego na Śląsku."

Podobno polecono kierownikowi „Katolika'' p. Napieralskiemu wypracowanie statutów i zwołanie większej liczby zwolenników celem założenia towarzystwa.

Wiadomość tę przyjmujemy z zastrzeżeniem. Uderza bowiem, że „Katolik'' wpierw ogłosił swoją listę kandydatów na posłów, a potem ma zabierać się do utworzenia Tow. wyborczego, zamiast postąpić sobie odwrotnie t. j. naprzód powołać do życia Tow. wyborcze — jeżeli już koniecznie nie chce nic wiedzieć o istniejącem polskiem Tow. wyborczem — a potem, stósownie do życzeń tegoż, ogłosić listę kandydatów. Obecnie katolikowe Tow. wyborcze będzie miało chyba zadanie zatwierdzenia listy poselskiej „Katolika.'' Nadmienić wypada, że podobno polskie Tow. wyborcze jeszcze świeżo usiłowało nawiązać rokowania z „Katolikiem,'' ale bezskutecznie....

Tymczasem *„Katolik''* zaprzecza jakoby zamierzał uformować Tow. wyborcze, lecz oświadcza, że rozważano, czy nie należałoby założyć Tow. stojącego „na straży spraw ludu polskiego'' i gromi p. Korfantego za to, że oczernia p. Krolika swego kontrkandydata w okręgu katowicko-zabrskim, postawionego z ramienia „Katolika''. Organ bytomski twierdzi, że

> „„Górnoślązak" zwalczając tę kandydaturę, a nawet stawiając własnego redaktora przeciwko niej, postawia się w rzędzie przeciwników sprawy robotniczej."

Wieść o zamierzonem założeniu „Tow. wyborczego przez stronnictwo „Katolika'' zakomunikował p. *Koraszewski,* redaktor „Gazety Opolskiej'' *w poufny sposób* pod słowem honoru redaktorowi „Orędownika'', który jak pisze „Gaz. Opolska'' — podał tę poufną wiadomość „Górnoślązakowi''. Z tego powodu występuje „Gaz. Opolska'' przeciwko redaktorowi drwi Szymańskiemu. Tymczasem „Orędownik'' twierdzi, że z redakcyą „Górnoślązaka nie miał zgoła żadnych stosunków, że sprawy, o których pisał mu p. Koraszewski, były znane także in-

nym osobom i pisały o nich nawet gazety niemieckie.

O kandydatach „Katolika“ — o których wypowiedział swe zdanie w „Pracy“ doskonale poinformowany Narodowiec — pisze *„Beuthener Zeitung.“*

„że Komitet wyborczy pp. Kapicę i Królika jako kandydatów sobie upatrzył, ale jeszcze nie zatwierdził. Kandydatura księdza Kapicy zależy bowiem od tego, czy ks. kardynał przy obecnym braku księży na nią zezwoli, dalej głoszą, że ks. Kapica przyjmie mandat do parlamentu tylko pod warunkiem, że go postawią także na kandydata do sejmu.“

W *ruchu przedwyborczym w Prusach Zachodnich* jest kością niezgody p. red. *Kulerski,* postawiony na kandydata do parlamentu w okręgu tucholsko-chojnickim. „Orędownik“ odbiera w tej materyi korespondencyą, w której czytamy:

„Nie podoba się niejednym osoba p. Kulerskiego; ależ tu nie chodzi o jego osobę, lecz o wolę ludu, którą według prawa wyborczego trzeba spełnić. Komitet powiatowy w Tucholi znał wclę ludu i według niej sobie postąpił, a jeżeli może w czemkolwiek uchybił, to to rzeczy samej nie zmienia.“

Wiec przedwyborczy w Brusach troskliwa policya — rozwiązała, bo rzekomo sala była przepełniona.

O stanie rzeczy w *Prusach Królewskich* pisze *„Postęp“*s

„Sprawa wyborcza a raczej kwestya kandydatów w Prusach Zachodnich na dobre się gmatwa. Sprawa tam tak się staje, jak u nas w Poznaniu przed pięciu laty. Żywioły konserwatywne nie chcą dopuścić do wyboru na posłów ludzi z nowszemi poglądami na nasze sprawy polityczne i społeczne, na osoby, zbliżone do polityki ludowej. Do tego dochodzi jeszcze antagonizm redaktorski, jaki dzieli trzy najwpływowsze gazety w Prusach Zachodnich, do których się liczą „Gaz. Toruńska“, „Gazeta Grudziądzka“ i „Gaz. Gdańska.“ Niemal każdy z naczelnych redaktorów tych gazet chciałby być posłem, dwaj naczelni redaktorzy, jak pp. Brejski z Torunia i Kulerski z Grudziądza są już nawet postawieni na kandydatów w niektórych okręgach. Tymczasem duchowieństwo i szlachta w Zachodnich Prusach sprzeciwia się obydwom kandydatom i protegowanym przez nich osobom i obstaje przy tem, ażeby koniecznie ze sfer szlacheckich rekrutowali się posłowie, albo tacy, którzy tym sferom podlegają.“

Nad *zniemczeniem miasta Poznania* pracują Niemcy tak gorliwie jak nad germanizacyą Księztwa. W tym celu postanowiono zbudować Dom Towarzystw i pałac królewski. *„Wielkopolanin“* zapytuje się czy przez to Niemcy zatrą historyczną polską przeszłość i pisze, że nie, bo wszystkie gmachy cenne jak kościoły, pałac arcybiskupi, muzeum Mielżyńskich itd. pochodzą z polskich czasów. Wywody swe kończy „Wielkopolanin“ temi słowy, zwróconemi do Prusaków:

„Za biedni jesteście w duchu i w ofierze, aby zatrzeć polskości cechy, nadane grodowi naszemu tysiącleciem chlubnych i świetnych dziejów i ofiarnością obywatelską.“

Wiec w Berlinie zwołany celem zażegnania waśni w kolonii polskiej odbył się w zeszłą niedzielę — bez przeszkody. Przemawiał na nim wydawca „Dzien. Berl.“ p. *Karol Rose,* uskarżał się na szykany świeżo założonego „Narodowca“ i jak czytamy w „Dzienniku Berlińskim“

„scharakteryzował istotę narodowej demokracyi w Królestwie i Galicyi i wykazał, że ci, którzy jej hasła przyswoili sobie w Berlinie, nie zawsze je rozumieją, albo czyny ich z hasłami temi w wiecznej pozostają niezgodzie.“

Wydawca „Narodowca“ p. Wróbel w odpowiedzi zaręczał, że nowe pismo nie jest dziełem kilku zawistnych jednostek i przyrzekł, iż „Narodowiec“ w przyszłości nie będzie zajmował się zaczepianiem „Dzien. Berl.“. W końcu poseł Głębocki nawoływał do zgody tak bardzo potrzebnej w łonie Polaków w Berlinie.

„Kur. Pozn.“ w artykule „Polacy a centrum nadreńskie“ usiłuje dowieść, że ten odłam centrowców jest najprzychylniej dla nas usposobionym i dla tego z całą energią za popieraniem kandydatów centrowych nad Renem i we Westfalii występować należy.“

Czytelnicy nasi wiedzą z korespondencyi w Essen (w num. 7.), że pomiędzy tamtejszymi Polakami inna panuje tendencya, a oni w tej sprawie będą mieli do decydowania.

Bardzo ważną wiadomość w tej materyi podaje korespondent berliński *„Kur. Pozn.“* a mianowicie:

„W tych dniach zjawił się w Berlinie wysłannik poufny czy prywatny od tamtejszych Polaków w zamiarze porozumienia się z posłami polskimi, a raczej przedłożenia im życzenia Polaków westfalskich, aby który z posłów polskich zechciał do tamtejszych kolonii przybyć i posłużyć radą. Rada ta odnosić się ma do stanowiska, jakie tamtejsi Polacy zająć powinni przy zbliżających się wyborach wobec centrum.

„Wysłannik westfalski miał sposobność wyłuszczyć cel swojej misyi na posiedzeniu Koła polskiego w parlamencie.

„Rozbierano kwestyą obszernie i gruntownie. *Rezultat narad jest ten, że nie już pojedyńczy posłowie w swojem imieniu, ale Koło, jako takie, gotowe jest zająć się kwestyą, czy wmieszać się we formie rady do spraw wyborczych Polaków westfalskich i nadreńskich, skoro odpowiednie życzenie zostanie mu przedłożone we formie urzędowej od tamtejszej organizacyi.* Na tem stanęło.“

Zwracamy na to uwagę naszych przyjaciół w Nadrenii i Westfalii. Wobec tego będą wiedzieli, jak sobie postąpić.

B. M.

Głosy od przyjaciół.

Blumenthal (w Hanowerskim) d. 3. lutego.

Tutejsze Towarzystwo śpiewu *„Wesołość“* tak się wsławiło, że zarumienią się za nie wszystkie inne nasze stowarzyszenia śpiewackie.

Przy obchodzie urodzin cesarskich, „Wesołość“ *brało udział.* Nie chcąc okazać się gorszem od Niemców towarzystwo już parę tygodni przedtem kształciło się w niemieckich patryotycznych pieśniach na cztery głosy męzkie, tylko bodaj dlatego, by przypodobać się Niemcom. Jaka radość panuje, gdy nasi najserdeczniejsi obsypują ich oklaskami! Jaki honor, gdy pan landrat poda rękę dyrygentowi i powie: sehr schoen!

Nawet tutejsza gazeta pogłaskała polskich śpiewaków, nie skąpi uznania *„polskim Prusakom“* i cieszy się nad postępami, jakie „polscy landsmanowie“ zrobili „w opanowaniu pieśni niemieckiej.“

Posełam Wam odnośne wycinki z gazety, abyście na własne oczy wyczytali o dziełach „Wesołości,“ która tak nie wesoło, nie po polsku sobie postąpiła. Z gazety tej dowiadujemy się dalej, że po śpiewach trzech członków towarzystwa Wesolocz (to ma znaczyć „Wesołość“) odegrało zabawną pantominę pod tytułem „Ein Schusterstreich“ (Figiel szewca).

Kochana „Praco!“ Tak daleko doprowadziło Tow. Wesołość! Zdaje się, że dyrygentowi chodziło bardzo o uścisk dłoni pana landrata i dlatego nie wahał się wprowadzić śpiewaków w paszczękę niemiecką. Zresztą pracuje ono z niemałym pożytkiem, śpiewając w kościele przy większych nabożeństwach polskie pieśni, nie mniej przy ślubach członków towarzystwa. Uznania mu nie skąpimy, lecz wymagamy, aby uchyliło się od udziału w niemieckim feście i wogóle po niemiecku nie śpiewało.

Natomiast powinno przyczyniać się do uświetnienia naszych rocznic narodowych, by lud polski krzepić na duchu i zachęcać do polskiego śpiewu. Mam nadzieję, że „Wesołość“ wyrzecze się na przyszłość tych niemieckich „honorów.“ Czyliż członkowie zapomnieli-by, że „Wesołość“ jest *polskiem* towarzystwem i nie widzieli, że pochwały te są obliczone na przyciągnienie Polaków, na *zniemczenie ich?* Wara nam od Niemców!

Ziomek.



Rysował J. Piwarski.

W karnawale rzną skrzypice,
Skoczę w taniec, dziewczę chwycę —
A po tańcu łyknę z dzbana
I zaśpiewam: „Dana, dana!“

 DRUKIEM „PRACY.“



Dział illustrowany.

Z ojczystych stron.

Kalisz.

(Do illustracyi).

II.

Spokojne czasy wpłynęły dobroczynnie na prastary ten gród, który rozwija się też prawidłowo, zabudowuje się dość okazale, ludność wzrosła nadspodziewanie i mieszkańcy doszli do pewnego dobrobytu, dzięki przemysłowi fabrycznemu, istniejącym urzędom, wreszcie szkołom i kilku instytucyom finansowym. Pomijam tu z konieczności fakty, świadczące chlubnie o mieszkańcach Kalisza, miasta, które w historyi, jak z poprzednich danych mogliśmy się przekonać, poważne zajmuje stanowisko, a od chwili otwarcia kolei Warszawsko-Kaliskiej, jako po dziś dzień położone przy trakcie europejskim, z pewnością się odpowiednio zaludni i stanowić będzie jedno z większych ognisk przemysłowo-handlowych. Jak kolej ta, oddana dopiero przed kilku miesiącami do użytku publicznego, cieszy Kaliszan, trudno jest nawet opisać! A przecież są tacy, którzy chodzą z obliczem zasępionem, niespokojni o przyszłość swych gniazd rodzinnych. Obawa jest poniekąd uzasadnioną, gdyż z wzrostem Kalisza nie obejdzie się bez konkurencyi, i to groźnej, bo niemieckiej. Sąsiadujący z gubernią kaliską cudzoziemcy, jak to już zapoczątkowali, nie omieszkają dalej zaniedbywać objęcia handlu i przemysłu w swe ręce. A nie dobrzeby było, gdyby żywioł obcy zagarnął ważniejsze posterunki. Ludzie ci, nie poczuwający się do żadnego obowiązku dla miejscowego elementu, zamieniliby szybko dzisiejszych Kaliszan zaledwie na siłę pomocniczą do robienia na rzecz zagranicy milionów, czyli inaczej mówiąc, zepchnęliby ich na stanowisko robotników, lepszego lub gorszego gatunku.



Kalisz: Ulica Rzeźnicza. Jatki zwane Chlebowemi i widok na dom Doroszyńskiego (dziś Mystkowskiego)

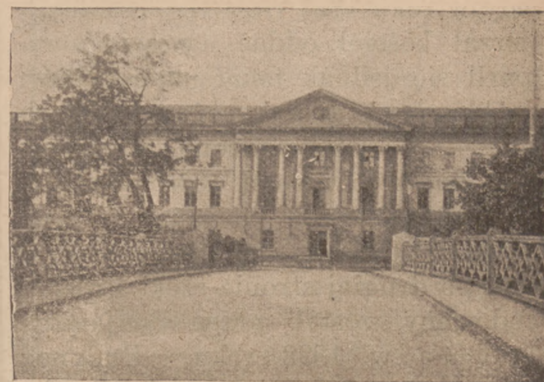
Rolnicy, przewidując z góry przewrót w stosunkach ekonomicznych, już pomyśleli o samoobronie przed kapitalizmem zagranicznym, przez łączenie się w syndykaty i sekcye. Nasi przemysłowcy powinni również zwrócić uwagę na Kalisz i więcej się nim zająć. Dziś posterunki tam są jeszcze nie zajęte, pole do pracy obszerne, a więc walka nie trudna. Czyż znowu lekkomyślnie dopuścimy do tego, aby tłuste kąski nam z przed ust zabierali?



Kalisz: Przystań towarzystwa wioślarskiego.

Tylokrotnie doświadczaliśmy na własnych kieszeniach, co to znaczy przemysł obcy, i jak go później trudno wyrugować, że to powinno być dostateczną dla nas nauką na przyszłość i dodać nam siły do starań, aby nowe pole do pracy nie wpadło w ręce obce. Nasze towarzystwo popierania przemysłu i handlu łącznie z oddziałem kaliskim powinno tę sprawę wziąć w swoje ręce i zająć się przyszłością nadprośniańskiego grodu, aby znowu nie ciśnięto nam w oczy zarzutu, że tylko rozprawiać umiemy, a do dzieła zawsze się opóźniamy.

Zanim Kalisz dzisiejszy uzyska inne warunki życia, zanim z otwarciem ruchu kolejowego inną przyodzieje szatę i ręka cywilizatorów prastary ten gród zamieni w jakieś nowego rodzaju ognisko handlu i przemysłu, przyjrzyjmy się obecnym widokom miasta, hojnie zroszonego wodami Prosny, nadającej uroku tej kolebce wielu znakomitych ludzi, a w ubiegłym jeszcze stuleciu takich mężów, jak ks. biskup Nowodworski i znakomity poeta Adam Asnyk.



Kalisz: Dawny gmach trybunalski obecnie Sąd okręgowy.

Z wielu pięknych widoków, w jakie Kalisz obfituje, na szczególniejszą uwagę zasługują:

Ulica Rybna z widokiem na kościół OO. Franciszkanów, folusz i most trybunalski. Niegdyś miejsce, gdzie się ciągnął mur miejski, od klasztoru OO. Franciszkanów do bramy Wrocławskiej, stojącej niegdyś na miejscu, gdzie dziś most Kamienny. Z bramy tej już ani śladu niema. Jedynie na obrazie w kościele OO. Reformatów podobizna bramy tej upamiętnioną została, a umieszczony nad bramą obraz Matki Bozkiej, przetrwał do dzisiejszych czasów w kościele OO. Franciszkanów. Po zniesieniu murów miejskich powstała ul. Rybna, tak nazwana od targów rybami, dotychczas tam się odbywającemi, nawprost folusza, a w pobliżu kościoła OO. Franciszkanów. Prastara ta świątynia fundowaną była w 1257 r. przez bł. Jolantę, żonę Bolesława Pobożnego.

W kaplicy tegoż kościoła spoczywają na ołtarzu w szklanej trumience szczątki tej świętej niewiasty, wydobyte z grobów kościoła pp. Franciszkanek w Gnieźnie i 14-go czerwca 1834 roku przewiezione do Kalisza. Kościół zaś ten przechodził różne koleje, z których najkrytyczniejsza była,



Kalisz: Rogatka Wrocławska z widokiem na kościół OO. Reformatów i szpital Ś-ty Trójcy.

kiedy w roku 1824 rząd Królestwa zamierzał kościół oddać ewangielikom. Oparli się jednak temu mieszkańcy. W klasztorze za czasów pruskich (1798 r.) zaprowadzono więzienie, które dopiero w roku 1858 usunięto.

Folusz, który znajduje się na wprost kościoła wyżej wzmiankowanego, po drugiej stronie rzeki Prosny, zbudowany został przez Benjamina Repphana w 1822 roku. Budynek ten, mający wielkie znaczenie dla fabryki sukna, założonej w roku 1817 w gmachu poklasztornym pp. Bernardynek, jest jednocześnie widomym znakiem przywileju, nadanemu temuż B. Repphanowi korzystania z wód Prosny na całej przestrzeni Kalisza. Ważny ten przywilej, dotąd w całej swej pełni jest utrzymany.

Tuż za foluszem, począwszy od mostu Kamiennego aż do parku, ciągnie się prześliczna aleja, założona w 1800 r. przez Prusaków na cześć królowej Ludwiki, żony Fryderyka Wilhelma i początkowo aleją Luizy zwana. Później, za pobytu Francuzów w Kaliszu, nazwana aleją Józefiny, żony Napoleona I-go. Przy alei tej powstała piękna ulica z wielu okazałemi domami, z których wyróżniają się bank państwa i tow. wzajemnego kredytu.

W alei tej znajduje się również pałac sądowy. Niegdyś gmach trybunalski, którego budowę rozpoczęto w 1820 r. a wystawiono ją kosztem 53,150 rb. W 1876 r. przerobiono go z wielkim nakładem dla sądu okręgowego. Pięknie się kończy aleja Józefiny, gdyż widokiem na teatr miejski, ukończony dopiero w roku 1900. Piękny ten gmach stanął na miejscu dawnego, zbudowanego w r. 1835 na zjazd monarchów. Dawny budynek był drewniany, w pięknym stylu korynckim, gmach ten zniszczył doszczętnie pożar, wynikły z nieostrożności stróża, w roku 1858. Nowy gmach jest zarówno wewnątrz jak i zewnątrz nadzwyczaj efektownie zbudowany, posiada oświetlenie elektryczne, wodociągi, centralne ogrzewanie, słowem zbudowany jest według wszelkich wymagań dzisiejszego budownictwa.

Teatr ten otworzyli przedstawieniem składanem, artyści warszawskiej sceny, pp. Lüdowa, Irena Trapszo, Szymanowska, Tarnowska i Pichor, oraz pp. Szymanowski, Prażmowski, Nowicki i artyści baletu z p. Kuleszą na czele. Tu godnem jest zaznaczenia, iż w inauguracyjnem przedstawieniu występował dziad Władysława Szymanowskiego, nowy zaś teatr otwierał wnuk, reżyserując dzielnie odegranemi komedyami.

Wzorowo urządzony park, jakim niejedna nawet stolica poszczycićby się mogła, posiada Kalisz. Uroczy ten salon letni Kalisza, oblany naokół Prosną, założony został w 1798 r. przez rząd pruski na ogrodach po-jezuickich i pastwiskach. W r. 1844 zbudowano w nim domek szwajcarski z oranżeryą, porobiono doły, wykopano sadzawkę, kogutkiem zwaną, w 1880 r. wykopano drugą sadzawkę przy moście więziennym. Zbudowano także 5 mostów, bardzo efektowne ruiny, nową piękną



Kalisz: Ulica Kollegiacka — kościół Pojezuicki (dziś ewangielicki) oraz widok kościoła N. Maryi Panny (Kollegiaty).

oranżeryę, cukiernię, oraz urozmaicono park wielu bardzo ładnemi figurami.

Gdy miniemy w parku tak zwane Pola elizejskie, dojdziemy do bramy wiodącej nas do kollegiaty N. Maryi Panny. Kollegiata ta ufundowana w r. 1155 przez Mieczysława Starego, księcia kaliskiego, pod wezwaniem św. Pawła, w starym Kaliszu, przeniesioną została na dzisiejsze miejsce przez Jarosława Bogorye Skotnickiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, w r. 1353. W roku 1783 kościół się zawalił, lecz dzięki staraniom ks. kanonika Kłossowskiego w 1790 r. na nowo odbudowany został. Kościół ten posiada trzy łaskami Bożemi słynące obrazy: 1) „Matki Boskiej od ognia" w wielkim ołtarzu w XV wieku ze wsi Sobótki przywieziony; 2) „Pana Jezusa" w ołtarzu kaplicy Ś-go Józefa, oraz „Najśw. Rodziny" zwany obrazem Ś-go Józefa, głośny cudami i ukoronowany 15 maja 1796 roku. Naprzeciw kościoła znajduje się gmach po-jezuicki, dziś pałac rządu gubernialnego. Była to niegdyś rezydencya arcybiskupa Stanisława Karnkowskiego, a później Jarosława Skotnickiego i Jana Łaskiego, którzy tu pomarli.

Tuż za gmachem tym stoi kościół po-jezuicki, dziś ewangielicki. Kościół ten, istniejący niegdyś pod wezwaniem Ś-go Wojciecha i Stanisława, wybudowany został w r. 1595 przez Jana Maryę Bernardoniego, Jezuitę i architekta sprowadzonego z Medyolanu. W 1797 roku, kościół oddany został ewangielikom. Prochy z podziemi kościoła przeniesiono do kollegiaty N. Maryi Panny i przechowano je w umyślnie wykonanych urnach. Jedynie zwłoki ś. p. ks. St. Karnkowskiego przeniesiono w trumnie, które przed kilku laty odnalezione zostały tylko dzięki temu, że szczątek kapy z cyframi i herbem zmarłego arcypasterza nieuszkodzony pozostał. Odnaleźli zwłoki: dyrektor szkoły prywatnej p. Witanowski i ks. kanonik Szafnicki.

Oryginalną budowlą są tak zwane „jatki chlebowe" w ul. Rzeźniczej, zbudowane na gruntach klasztoru pp. Franciszkanek; klasztor ufundowany w roku 1618, przez Katarzynę Sulimowską, zniesiony został w 1805. Kościół i klasztor nabyli od rządu Grecy kaliscy (była tu dość liczna ich kolonia) i na tem miejscu postawili dom oraz jatki dla sprzedaży chleba. Jatki należące dziś do miasta, wydzierżawione zostały i zamienione na sklepy.

Pięknym jest rynek kaliski w samym środku miasta położony, a odznaczający się kilku bardzo staremi budowlami, z których budową do dnia dzisiejszego imponują: pałac były biskupów kujawsko-kaliskich, przebudowany w 1818 r. z kamienicy (pałac po przeniesieniu rezydencyi biskupiej do Włocławka w drodze licytacyi przeszedł w prywatne ręce), i kamienica po dziś dzień Konwiktem zwana. Wspaniała ta budowla, zbudowana



Kalisz: Wrocławskie Przedmieście z widokiem na most.

w 1595 r. przez arcybiskupa Karnkowskiego, przeznaczona niegdyś była dla niezamożnej młodzieży, która za małą opłatą otrzymywała tu utrzymanie i nauki udzielane przez nauczycieli jezuickich. Zakład ten zwiedzali Zygmunt III, Władysław IV i Jan Kazimierz.

W środku rynku stoi wspaniały gmach ratuszowy. Nowożytna ta budowla stanęła na miejscu dawnego ratusza z wysoką wieżą, którą, jak podania głoszą, widać było przy dniu pogodnym na 3 mile. Dawny ratusz spalił się w r. 1792.

Do najstarszych ulic w Kaliszu należy bezsprzecznie Wrocławskie Przedmieście. Tuż zaraz za mostem stoi jeszcze były hotel Polski istniejący już na początku zeszłego stulecia, a goszczący w swych murach ks. Hieronima Westfalskiego, Fryderyka Wilhelma III, i wielu wodzów francuskich.

W późniejszych czasach w obszernej i istniejącej do dnia dzisiejszego sali, odbywały się teatra i bale. Dziś w sali tej mają swą siedzibę syoniści kaliscy. Na Wrocławskiem Przedmieściu mieszczą się także:

Klasztór i kościół OO. Reformatów, zbudowane w 1631 roku z drzewa, przez Marcina Kowalskiego i Annę Sulimowską, dzisiejsza budowla murowana zbudowaną była w latach 1665 do 1673. Kaplicę żołnierską, czyli rycerską, przy kościele ufundował Piotr Sokolnicki, chorąży poznański w 1736 roku. Naprzeciw kościoła znajduje się szpital Ś-tej Trójcy, ufundowany w r. 1590 przez mieszczan dla ubogich obywateli kaliskich. Był przy nim kościółek Ś-tej Trójcy, rozebrany w 1821 r. Dzisiejsza budowla stanęła w latach 1841—1855. Wrocławskie Przedmieście, mające w r. 1792 zaledwie 21 domów, dziś zostało zupełnie zabudowane i to gmachami 3-ch piętrowemi, jak np.: dom, w którym się mieści szkoła realna, lub dom przy moście Reformackim.

Z nowszych ulic, jest tak zwana Babina, której środkiem przepływa Prosna. Oryginalna ta ulica, mająca



Kalisz: Ulica Rybna z widokiem na kościół OO. Franciszkanów, folusz i most trybunalski.

po obu brzegach rzeki już dziś piękne gmachy, połączona jest z miastem mostami Kanonickim i Fabrycznym, zwanym dawniej „zamkowym“, gdyż stał blizko zamku, dziś zamienionego na gimnazyum filologiczne.

Na Nowym Rynku, dawniej Świńskiem targowisku,“ posiada straż ogniowa kaliska okazały budynek dla pomieszczenia sikawek i przyrządów ratunkowych, ozdobiony wieżą, przeznaczoną dla obserwacyi pożarów. W budynku tym mieszczą się także wozy magistrackie, na piętrze zaś biura policyjne.

Korzystając z obfitości wody, zorganizowali Kaliszanie tow. wioślarskie z głównym celem ratowania tonących. Towarzystwo to pobudowało sobie po za t. z. nowym parkiem własną przystań, zkąd urządza wycieczki do Strzelnicy, na Zawodzie, i do Piwonic. Towarzystwo to liczy przeszło 200 członków; po za zabawą towarzyską oddaje wielką usługę społeczeństwu.



Kalisz: Wrocławskie Przedmieście z widokiem na hotel Polski i most kamienny (dawniej Toruński).

Oto i szczupła wiązanka wiadomości o dzisiejszym Kaliszu, skreślona w szczupłych ramach naszego pisma.

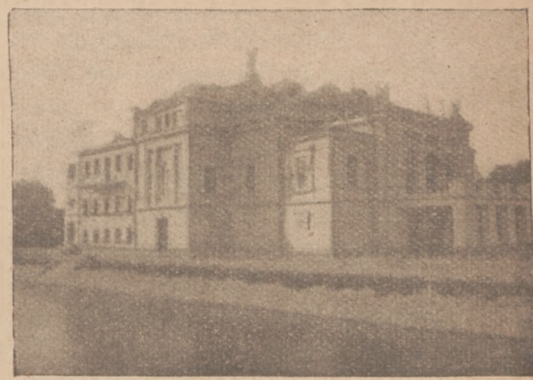
Wincenty Szatkowski.

Ostatki w Wielkopolsce.*)

Jedni chcą się weselić, drudzy się weselą.

Chcecież wiedzieć, jak się chłopcy bawią z dziewczętami
Na ostatki w Obiezierzu pod Obornikami?
Jak się bawią, jak śpiewają, jak tańczą wesoło,
Chcecież wiedzieć? To słuchajcie, obstąpcie mnie w koło!

W dzień wtorkowy, nad wieczorem, po odbytej pracy,
Wykrzykując, idą przez wieś parobcy, średniacy;



Kalisz: Nowy Teatr.

Wykrzykując: o świeci się! oj nasza! oj nasza!
Okrzyk taki wszystkich ze wsi do gościńca sprasza.

Idą przez wieś, razem z nimi skrzypek postępuje,
Skrzypek Mucha — któż go nie zna? Bartek mu wtóruje.
Czy to marsza, obertasa, czy mazura grają?
Trudno poznać! Ale hucznie grają i śpiewają.

Do gościńca wszyscy idą i grajków prowadzą —
Dziady, baby i dziewczęta z nimi się gromadzą.
A gościnny razem z żoną — pomny gościnności —
Wita, sadza po za stołem i częstuje gości.

Mucha zasiadł koło pieca z skrzypcami na łonie,
Przy nim Bartek siadł po prawej, Bąk po lewej stronie;
Bąk, co w basów niedostatku na ćwierci dobija
(Nikt tak hucznie jak on ćwiercią taktu nie wybija).

Wtem Stach z grona parobczaków gdy Kasię swą zoczył,
Wprost ku Musze z pośród ciżby na przodek wyskoczył;
Lecz nim mówić zaczął, siwą czapkę uniósł z głowy,
Pokłoniwszy się skrzypkowi, mówił temi słowy:

„Dalej Mucha, graj od ucha skocznie, żwawo, śmiało!
Rznij polskiego! bo też zgarniesz dziś grosza nie mało;
Dalej, zarznij po swojemu do przodku mazura,
Na odsiebkę i na k'sóbkę — o świeci się! hura!“

Tu na głowę siwą czapkę prawą ręką wcisnął,
I z podełba na Kasienkę czarnem okiem błysnął;

*) Powyższy wiersz, wyjęty z leszczyńskiego „Przyjaciela Ludu“ z roku 1841-go, z pewnością zainteresuje i rozweseli Czytelników naszych. — Przyp. Redakcyi.

Skoczył ku niej — tupnął nogą, jak zwyczaj w gościńcu,
A że Kasia nie od od tego, widać po rumieńcu.

Tupnął nogą po raz drugi, ręką k'sobie skinął,
Porwał za pas, by z dziewczęciem mazura wywinął.
Kasia pląsa tak polotnie, że ziemi nie tyka,
Jako piórko, gdy przed wiatrem do nieba ucieka.

Czarne czółko — z rozmarynem — Kasia wtedy miała —
Kruczy warkocz jasną wstęgą poprzek przewiązała;
A Stach suknię granatową, taśmy jedwabnemi
Wyszywaną włożył na się: na głowie z pawiemi

Siwą czapkę miał piórkami; któż mu w stroju zrówna.
Tańczy dziarsko, choć podłoga w gościńcu nie równa.
Wszystkich oczy się zwróciły na Kasię i Stacha;
Każdy chciałby ją za swachnę, każda go za swacha.

Boć też Kasia ładne dziewcze — dalibóg nie kłamię;
Boć też ręce Stacha rzadko zrówna czyje ramie.
Janek też nie baba przecie, przodował na wieńcu,
Za cóżby miał jak dziad siedzieć nieczynny w gościńcu?

Ujął dziewczę silną dłonią, opasał na poły,
I zaśpiewał, co miał gardła, dziewczęciu wesoły:

„Oj nie boję ja się pana, ani wokumuna;
Odrobiłem w polu zaciąg, będę siedział doma!
Z tamtej strony Warty kąpała się wrona,
A wokumun myślał, że to jego żona!"

A gdy Janek drugą parą za Stachem pogonił:
Wach po Janku przed Marysią w podkówki zadzwonił;
A po Wachu krzepki Michał; po krzepkim Michale
Znowu inny, tak, że wreszcie nie zostało wcale

Miejsca w karczmie, by się ruszyć; a że skrzypek Mucha
Obertasa na odsiebkę ciągle rznął od ucha:

Wszystkie pary, tak jak stały, tak się też kręciły,
I przeszkody nie zważając, mile weseliły.

Chłopcy krzeszą podkówkami ognia z całej mocy,
Skry rzęsiste się z posadzki sypią jako z procy.
Każdy śpiewa swej tancerce piosnkę nieuczoną,
Ale szczerą, z serc płynącą i w sercu zrodzoną.
Szał jak płomień u każdego chłopca z oka tryska,
Szczęście, rozkosz, zachwycenie z twarzy dziewcząt błyska.

Starych taniec nie zajmuje — niech młodzi się bawią!
Oni sobie przy stoliku czas w kąciku trawią.
Gwarzą: wódki albo piwa w szklanki nalewają —
Częstując jeden drugiego, k'motrostwa stwierdzają.

Inni znowu ganca sobie ucięli Mospanie —
Wzdyć na karty onych przecie pewnie jeszcze stanie!
A choć mówią im niektórzy, że kto grywa w karty,
Ten się zwykle bije z ludźmi, i ma łeb odarty:
Oni na to nie zważają, drugich nie pytają,
Cicho, zgodnie, że aż miło, w ganca sobie grają.

Na uboczu stare baby zlazły się na zwiady,
Kieby sejm na łysej górze; potem wszczęły rady,
Do którejby z tegorocznych młodziuchnych mężatek
Najprzód wtargnąć na ożegu po należny datek.

(Mają prawo stare baby z wiechciem i z popiołem,
Na ożegu z wrzaskiem po wsi jeździć całem kołem.
Gonić, płoszyć młode panie, wybić dogonione,
Aż zapłaci im pan młody za czepiec i żonę.)

Jeszcze baby się w najlepsze ze sobą kłóciły,
A dziewczęta obertasa na k'sobkę tańczyły;
Właśnie Mucha na odsiebkę mazura zagrywał,
Właśnie Matusz do swej Zosi tę piosenkę śpiewał:

„O święci się! moja Zosiu! oj nasza! da dana!
Dziś wywijam — jutro robić trza będzie na pana!
Dzisiaj tańczę — jutro na łeb nasypią popiołu.
Kiedyż znowu tańczyć, Zosiu, będziemy pospołu?

„Niech się dzieje wola boska, choć na łbie z popiołem
Trza pracować — nic nie szkodzi! twem oczkiem wesołem
Będę krasił wszystkie chwile!..." gdy niespodziewanie
Doleciało z sieni stróża nocnego śpiewanie:

„Posłuchajcie gospodynie i wy gospodarze!
Bo dwunasta już dochodzi w dworze na zegarze:
Ogień zgaście — a na czeladź — no się nie spuszczajcie,
Idźcie do dom, Matkę boską wprzódy wychwalajcie!"

Na te słowa wszystko zmilkło, każdy stróża słucha:
Milczą skrzypce, ćwierć ucichła; smutni Bąk i Mucha.
Ksiądz w niedzielę na ambonie nakazał surowo,
By we wtorek karczmę zamknąć przed nocy połową.

Księdza słowa wszystkim święte, a więc w jednej chwili
Chłopcy razem z dziewczętami ku grajkom skoczyli;
Sypli grosza sporo w skrzypce, aż skrzypce jęknęły,
Jakby z strachu, aby tylko wszystko w się objęły.

A gdy każdy grosz swój wrzucił: stary rataj Grzela,
Chociaż stary jednak drużba każdego wesela,
Miecz drewniany wziąwszy w rękę, i do Muchy głowy
Przyłożywszy, mówić k'niemu począł temi słowy:

„Biedny Mucho, biedny skrzypku, i cóż nam po tobie?
Kiedy radość i wesele jutro legnie w grobie?
Legnij i ty biedny grajku z pomocniki twymi,
Razem z tańcem i muzyką i skrzypcami w ziemi!
I leż póty w zimnym grobie, aż smutki przeminą —
Na Wielkanoc powstań z ziemi razem z oziminą!"

Klęknął Mucha, klęknął Bartek, i Bąk zgiął kolano,

Grzela uniósł im nad głowy szablicę drewnianą,
Raz nią machnął, i trzy trupy za jednym zamachem
Spadły z ławy. Poczem wszyscy z gościńca za Stachem
Całym hurmem ku domowi ponuro ruszyli,
Smutni, że tylko tak krótki czas ze sobą tańczyli!

* * *

A w mieście, cóż ludzie robią? — *Wieczorów* tam wiele,
A *salony* brzmią muzyką, a świec jak w kościele!
Czy tańcują? w karty grają? czy także śpiewają?
Czy szczęśliwi na swych balach? czy się bawią szczerze?
Tańczą przecież kontredansa, rulady śpiewają,
Po francuzku paplą z sobą, albo w wista grają;
Ale, żeby się bawili, temu ja nie wierzę!

M.

Trzy pocałunki.

(Nowela.)

— Więc pani mię nie odpycha, nie gardzi mojem uczuciem, złota, jedyna, ukochana panno Maryo?

— Ja nie wiem, doprawdy, ja sama nie wiem.

— Pani nie wie, to mię smuci. Ja wiem doskonale, że bez namysłu skoczyłbym za panią w ogień i wodę, że obraz pani ściga mię bezustannie, że myśl o niebieskich, figlarnych oczętach spać mi nie daje, że śmiech twój srebrzysty brzmi ciągle w uszach, że każde słowo, zwrócone do mnie, to melodya, pod czarem której czuję się wielkim, szczęśliwym. Jednem słowem, świat cały koncentruje się dla mnie w twojej osobie, a pani nie wie... Więc może ci jestem obojętnym, przeciętnym znajomym, o którym zapomina się z chwilą pożegnania.

Pan jest niedobry, panie Józefie, jak można mówić, przypuszczać coś podobnego, odparło drżącym głosem szesnastoletnie dziewczę, z buzią jak wisienka, jasnemi warkoczami i ślicznemi modremi oczyma, ocienionemi długiemi, w górę wywiniętemi rzęsami.

Idący obok niej student, młody chłopiec tryskający werwą i zdrowiem, uścisnął rączkę panienki i zatrzymał dłużej w swej dłoni.

Szli długim, wązkim, leszczynowym szpalerem, tworzącym przez spojone gałązki dach zielony. Ptaszki świergotały, muszki i pszczółki brzęczały, zdaleka dochodziły tony ligawki, a kwiaty napełniały wonią powietrze. Niebo szafirowe z białemi obłoczkami, i wielkie słońce, i gwar dochodzący z łąki, szczęk kosy, wszystko to napełniało niewypowiedzianem szczęściem, i błogością serduszko dzieweczki w różowej sukience i młodego chłopca w mundurze. Śmieli się do świata, a świat do nich, chwili obecnej nie oddaliby za skarby Krezusa.

— Pani tęskniłaby trochę, odrobinkę? zapytał figlarnie, zaglądając pod rondo olbrzymiej pasterki.

— Wcale nie, odparła ze ślicznym dąsem, bo pan jest zarozumiały, a ja nie lubię zarozumiałych.

— A jakich pani lubi, panno Maryniu, to pójdę do czarnoksiężnika i poproszę, żeby mię przemienił tak, iżbym mógł się podobać.

— Przedewszystkiem niech mi pan nie opowiada o czarnoksiężnikach, nie jestem bowiem dzieckiem — skończyłam pensyę i jestem panną dorosłą, rzuciła marszcząc brewki i podnosząc hardo główkę.

— Mój Boże, jaki ja jestem nieszczęśliwy, nigdy pani dogodzić nie mogę, wszystko co powiem, jest złe, niedorzeczne.

— Przepraszam, tego nigdy nie powiedziałam.

— Ale pomyślałam. Jak pani nie przestanie mi dokuczać, rzucę wszystko, zaciągnę się jako ochotnik do wojska, a że się zanosi na wielką wojnę, to może pierwsza kula nieprzyjacielska mię sprzątnie i pani musi modlić się za moją duszę, bo to wszystko przez panią.

— Jak matkę kocham, dzieje się naodwrót! Pan mię ciągle prześladuje, że nawet nie wiem, jak panu nie wstyd. Jeżeli pan nie zaprzestanie tych ciągłych napaści, to się tak rozgniewam, że nawet za sto lat nie odezwę się do dręczyciela jednem słówkiem. To okropność! niechże raz nareszcie dowiem się, co pan sobie do mnie upatrzył, co pan chce odemnie?

— Upatrzyłem sobie to, że panią kocham a chcę, żeby mnie pani też trochę kochała, trochę więcej jak kotkę Murzurkę i ulubionego wyżła Tyrasa. Kiedy mi pani zabrała serce, niech mi pani odda wzamian swoje.

— Nie chcę, bo dając serce...

— Panno Maryniu, niech pani dokończy!

— Za nic w świecie! Zresztą niech się pan domyśli.

— Dobrze, będę się domyślać: dając serce, trzeba to czynić z miłości. Czy tak?

Skinęła główką.

— A pani nie ma dla mnie tego uczucia ani odrobiny? Jestem zarozumialec, nieznośny, ale i zarozumialcom odpowiedzieć trzeba, prosta grzeczność to nakazuje. Więc proszę o odpowiedź, wiem, że pani kłamać nie umie, kłamstwem się brzydzi.

— Panie Józefie, jaki pan nie dobry, jak mię pan męczy, kogo innego znienawidziłabym od dawna.

— Ale mnie nie znienawidziła pani? Dziękuję.

Pocałował w pulchną różową rączkę.

— Ach! trzeba być potworem, żeby robić coś podobnego! Zobaczy pan, że powiem tatusiowi! Gdybym wiedziała, że wszyscy mężczyźni są tacy jak pan, wstąpiłabym zaraz do klasztoru.

Student nie wziął widocznie bury do serca, bo pocałował panienkę w drugą rączkę.

— Przepraszam, ja się poprawię. Niech pani skarży się tatusiowi i mamusi, niech mię pani wybije nawet, tylko niech pani nie patrzy na mnie tak groźnie i pozwoli pomówić ze sobą poważnie, bardzo poważnie.

Zbladła.

— Słucham.

— Za rok skończę agronomię i sam gospodarować będę w Wólce. Kocham panią całem sercem i pragnę wiedzieć, czy zechcesz zostać moją żoną. Niepodobna, żebyś była obojętna, uczucie musi wywołać uczucie. Uzyskawszy twoje pozwolenie udam się z prośbą do rodziców.

Trzepiotka spoważniała bardzo i po chwili w odpowiedzi podała do uścisku obie rączki, słowa wymówić nie mogąc.

Trzymał długo, długo różowe rączyny, wpatrzony w modre źrenice, a potem nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, nachylił się i wycisnął gorący pocałunek na malinowych usteczkach..

A Anioł — stróż z uśmiechem promiennym skreślił krzyżyk nad młodocianemi głowami kochających się, niewinnych.

* * *

Czyż przypuścić mogłem, że spotkam się z panią kiedy i to w podobnych warunkach.

— Cóż pan chce, panie Tadeuszu, los miota ludźmi, niczem wiatr jesienny liśćmi na wszystkie strony. Nie wszystkim szczęście, nie wszystkim dola. Jednym życie daje same specyały, inni okruszynami cieszyć się muszą. Ale ja oswoiłam się już z położeniem mojem.

Mówiąc to pochyliła się nad robotą, aby ukryć silny rumieniec, jaki za-

barwił jej wychudłe policzki, a w cienkich, przezroczystych palcach igła szybciej migała.

Siedzący obok młodej kobiety mężczyzna w pełni rozkwitu dojrzałej piękności, ubrany wykwintnie, patrzył długo, badawczo na kształtną główkę i delikatny profil pracującej, a w oczach jego zamigotał dziwny blask. Nerwowym ruchem odrzucił ciemne włosy, przesunął ręką po czole i westchnął. Dreszcz nim wstrząsnął, rozejrzał się bacznie po pokoiku, z którego kątów wyglądała nędza.

— Panu zimno tutaj, nic dziwnego, drugi dzień nie palone, bo... nie miałam czasu zejść po węgle a ja się już przyzwyczaiłam.

Znów on spojrzał na nią i znów ona szkarłatnym rumieńcem się oblała i zakaszlała suchym, przykrym kaszlem.

Zapanowało przykre milczenie. Przerwał je Tadeusz.

— Dziwny zbieg okoliczności. Czyż przypuszczałem czytając ogłoszenie pani, że w hafciarce znajdę dawną, bardzo dawną znajomą. Cała młodość staje mi przed oczyma, czy mi pani pozwoli wrócić na chwilę do pięknej minionej przeszłości, pomówić ze sobą dłużej?

Podniosła na niego wielkie piwne oczy, w których malował się smutek bezbrzeżny i obawa.

— Po co szperać po cmentarzysku? Ze wszystkiego, co było piękne, jasne, promienne, pozostało trochę popiołów.. i łzy. O, panie Tadeuszu, gdybyś nie był tak szlachetny, jak jesteś, powiedziałabym: Tryumfuj, los pomścił krzywdę twoją!

— Pani Adelo!..

— Tak, zawołała z goryczą, może nie powinnam mówić, może pożałuję tego wybuchu, ale przychodzą na najmocniejszych chwile słabości, zresztą, to nie słabość, to skrucha. Niech pan nie przerywa, gdy się upokorzę, lżej mi może będzie. Albo co tam! Zaśmiała się sucho, nerwowo. Mówmy o interesie.

— Jakie szanowny pan życzy sobie mieć znaki na chustkach, białe, czy czerwone? monogram może pan zechce sam wybrać.

— Pani Adelo, to się nie godzi, rzekł ujmując jej delikatne, wychudzone ręce, w swoje dłonie. W tej chwili niema hafciarki i pana, który przyszedł z obstalunkiem, tylko Tadeusz Stawosz i Adela, z którą go łączą węzły bardzo dawnej znajomości.

— I zdrady, dodaj pan.

— Nie mówmy o zdradzie, ani o mnie, tylko o pani. Zresztą, jeśli mam prawo żądać od pani zadośćuczynienia, to proszę, daj je, opowiadając dzieje z ostatnich lat dziesięciu. Może mogę przyjść z radą, pomocą. Pani Adelo,, przez pamięć ojca twego, którego tak bardzo kochałaś, bądź ze mną szczerą, nie odrzucaj mej przyjaźni. Daruj otwartości, ale widzę, że jesteś w niedostatku, można coś obmyśleć, zaradzić. Mam stosunki, znajomości. To nie żadna łaska z mej strony, to obowiązek uczciwego człowieka, przyjść w pomoc biednej wdowie.

— Ho! ho! wdowie! Ja nie jestem wdową, mąż mój żyje... i używa rozkoszy życia.

— Jakto? mąż porzucił panią?

— Panie Tadeuszu, pan nie ma pojęcia, czem jest mężczyzna, pozbawiony wszelkich wyższych uczuć, cynik nie mający hamulca dla swoich namiętności, zwierzę, które dla dogodzenia instynktom, nie przebiera w środkach, dla którego niema w słowniku wyrazów: sumienie, obowiązek, honor, uczciwość.

Do takiej kategoryi należał ten, którego żoną zostałam. Tak, pod twoją nieobecność wkradł się do naszego domu, olśnił mię pięknością, majątkiem, a nie mogąc zdobyć inaczej, zdobył drogą legalną. Pod wpływem tego demona zapomniałam o tobie, zdradziłam haniebnie. Nim rok upłynął, spadła mi z oczu przepaska, po dwóch on mi powiedział bez ogródki, że jestem dla niego niczem, a właśnie niepotrzebnym ciężarem, po trzech zaczął się znęcać nademną, wymyślać, bić, a gdy zgnębiona znosiłam razy w milczeniu, sprzedał majątek i wyjechał za granicę, zostawiając mię na pastwę biedy i wyrzutów sumienia, bo w najczarniejszych godzinach życia powtarzałam sobie: kara za niego, kara za Tadeusza.

Nic porządnie nie umiałam, żadnej pracy fachowej podjąć się nie mogłam, więc spieniężywszy, co się tylko dało spieniężyć, nauczyłam się haftować, no i jak pan widzi, choć czasami po dwa dni nie jadłam, nie umarłam do tej pory z głodu.

Ale nawet wszystkie cierpienia nie zmniejszają mojej winy względem pana, możesz mną gardzić, przeklinać mię.

— Pani Ado, gdy kto kocha prawdziwie, gardzić nie chce, przeklinać nie potrafi, a zapomnieć nie może. Miłość moja dla ciebie była jedyną, prawdziwą, czczoną w głębi serca jak świętość, jak relikwia. Ada, ja wszystko pamiętam, jakby to było wczoraj, pamiętam, jak w piękne wieczory księżycowe wpatrzeni w gładką, jak szyba lustrzana, Wisłę, słuchaliśmy pieśni flisaków, tęsknej, rzewnej, pełnej poezyi. A flisak, wpatrzony w niebo jasne, jakby gwiazd pytał o pogodę, w migotliwem światełku ognia zapalonego na tratwie i w blasku okrągłej twarzy księżyca przybierał fantastyczne, olbrzymie kształty i zdawało nam się, że to czarodziej z bajki, który nam szczęście pieśnią swoją przepowiada. Albo te szare godziny, gdy siedząc obok siebie na kanapce, wsłuchani w melodye Chopinowskie, wychodzące z pod palców twego ojca, słyszeliśmy jednocześnie serc naszych bicie. Czy ty pamiętasz, Ado? Ja pamiętam, ja czuję zapach narcyzów, ulubionych twoich kwiatów, pamiętam kanarka Maciusia, który mi zazdrościł pieszczoty twojej.

Blada, szczupła kobieta usunęła się do kolan mężczyzny i kryjąc twarz w jego dłonie szepnęła wybacz, wybacz!

On delikatnie, jak dziecko, ujął ją wpół, podniósł z klęczek, przytulił drżącą do piersi i ucałował przedwcześnie posiwiałą główkę, wypłakane oczy i spieczone usta nieszczęśliwej.

A Anioł-stróż smutny bardzo, zapłakał żałośnie.

* * *

— Fela, jak ten stary przyjdzie, dla nikogo niema mię w domu. Wogóle jeżeli się dowcipnie znajdziesz, niepożałujesz tego.

Wydawszy tę dyspozycyę pokojówce, panna Ziuta, dobrze rozwinięta blondynka, z zadartym noskiem i podmalowanemi oczami, rzuciła się na turecką otomanę, przymknęła oczy i poczęła marzyć... o brylantowym garniturze, widzianym na wystawie.

— Ani Dora, ani Fifina nie mają takiego, wściekłyby się z zazdrości, a cóż dopiero stare wiedźmy. Jeżeli jednak nie uda mi się naciągnąć tego starego idioty i ja będę miała figę; te gołowąsy, żółtodzioby, nędza chodząca gadać z nimi nie warto.

Marzenie przerwał odgłos dzwonka i po chwili sprytna Fela, pomagając zdjąć palto panu baronowi, szeptała konfidencyonalnie:

— Jaśnie pan w samą porę przybywa. Przed chwilą był pan Zygmunt i jakiś gruby szlachcic, ale ich pani przyjąć nie chciała. Dziwnie smutna i jeżeli teraz się nie rozweseli, to już nie wiem, co myśleć.

Pan baron uśmiechnął się, pokazując w tym uśmiechu dwa czarne zęby i wsunął w rękę dziewczyny dziesięciomarkówkę.

Rozpromieniony, woniejący, świecący łysą, jak kolano głową wsunął się na palcach do buduaru powabnej jego właścicielki.

— Witam moją królowę, jakżeż zdroweczko. Oczęta zasmucone, czy **główka boli?**

Panna Ziuta wyciągnęła tłustą, zdobną pierścionkami rękę i westchnęła melancholijnie.

— Nie można być wesołą i zdrową, głowa musi boleć, gdy się ją męczy od rana do nocy rachunkami.

— Moja królowa rachuje! A co takiego, jeśli wolno zapytać, czy kupony od listów zastawnych?

— Wstydź się, panie baronie, żartować z biednej kobiety. Gdyby nie nadzwyczajna, do skąpstwa posunięta oszczędność, na życieby mi chyba brakło. Moje koleżanki stroją się, błyszczą klejnotami, a ja kilku sukniami i kapeluszami obywam cały sezon. Nie! takie marne życie już mi się przykrzy!

Zerwała się z otomany i przebiegłszy szybko parę razy pokój, stanęła przed starym adoratorem!

— Spojrzyj tylko, baronie, natura nie poskąpiła mi wdzięków, ale najpiękniejszy obraz w nędznej ramie marnym się wydaje. Zawyrokuj, czy nie mam prawa żądać piękniejszej oprawy.

Położyła obnażoną rękę na ramieniu starca.

— Masz prawo żądać, moja królowo, masz, ale nie od życia, tylko od tych, którzy cię uwielbiają, od twego najpokorniejszego sługi. A cobyś na to powiedziała, królowo, gdybym wiedziony przeczuciem, co ci przyjemność sprawić może, przyniósł klejnocik godny ciebie?

Wyjął ozdobne puzderko i nacisnął sprężynę.

Panna Ziuta krzyknęła radośnie.

— To dla mnie, baronie?

— Tak, królowo, tak, ale pod waruneczkiem. Dar to książęcy, ale ja nie żałuję, tylko w nagrodę popieść mię trochę, pocałuj malinko szczerze, mocno. Odmłódź, orzeźwij starego słodyczą swoich usteczek. No, i cóż?

Panna Ziuta wzdrygnęła się, spojrzała na pomarszczoną żółtą twarz, łysą głowę, wklęsłe usta.

Wahanie trwało sekundę.

Pochyliła się, zarzuciła białe ramiona na szyję starca i na sinych wargach jego wycisnęła gorący pocałunek.

A Anioł-stróż na ten widok ze wzgardą odwrócił oczy.

Gabryela Biernacka.

Stworzenie i upadek
pierwszych ludzi,
WEDŁUG KSIĄG WEDY.

W księgach Wedy, tej biblii indyjskiej, która od niedawna tylko stała się dostępną badaniom rozwoju kultury ludzkiej, znajduje się niesłychanie ciekawe podanie o stworzeniu świata. Podanie to jest bardzo podobne do podania Mojżeszowego, lecz otoczone niezmiernie poetycznemi obrazami. Podajemy je w dosłownem tłómaczeniu z rękopisu jednego z angielskich uczonych, długoletniego badacza literatury indyjskiej.

Ziemia była pokryta kwiatami, gałęzie drzew uginały się pod ciężarem owoców, niezliczona ilość ptasząt napełniała powietrze, białe słonie przechadzały się spokojnie pod cieniem olbrzymich drzew, a Brama uczuł, że nastąpiła chwila stworzenia pierwszego człowieka, który miał mieszkać na tej ziemi i rządzić nią.

Wyjął więc z wielkiej duszy najczystszą esencyę, zarodek życia i ożywił dwa ciała, z których jedno było męzkie, a drugie kobiece, zdolne do rozpładniania jak rośliny i zwierzęta i dał im samopoznanie i zdolność mowy, co ich uczyniło wyższymi nad wszystko co było stworzonem dotychczas, lecz niższymi od Bramy.

Mężczyznę Brama odznaczył siłą, urodą i powagą i dał mu imię Adima (po sanskrycku znaczy pierwszy człowiek).

Kobieta otrzymała w udziale piękność, słodycz i wdzięk, nazwał ją Hewa (po sanskrycku znaczy to: dopełnienie życia).

Pan wyznaczył Adimie i żonie jego Hewie na pobyt Ceylon, najpiękniejszą wyspę indyjskiego morza, posiadającą cudowny klimat, pyszną roślinność i najsmaczniejsze owoce.

— Idźcie, rzekł do nich, połączcie się i dajcie życie potomstwu, które będzie obrazem waszym na ziemi przez wieki i wieki, gdy wy już wrócicie do mnie. Ja, pan wszystkiego co istnieje, stworzyłem was, abyście mnie czcili w ciągu życia waszego, a ci co, wierzyć będą we mnie, po końcu wszechrzeczy dostąpią rozkoszy, których ja używam. Nauczcie dzieci wasze, niech nie zapominają o mnie, gdyż zawsze będę z niemi, dopóki będą wzywać imienia mego.

Zabraniając Adimie i Hewie porzucać Ceylon, Brama rzekł: Przeznaczeniem waszem jest zaludnić tę pyszną wyspę, gdzie zebrałem wszystko dla waszej przyjemności i dogodności i zaszczepić w sercach dzieci waszych cześć dla mnie. Reszta świata nie jest jeszcze zaludniona. Jeżeli później ilość dzieci waszych powiększy się tak znacznie, że wyspa nie będzie w stanie ich wyżywić, niech składają mi ofiarę, zapytają, co mają czynić, a ja im oznajmię mą wolę.

Wyrzekłszy te słowa Brama zniknął.

Wtedy to Adima zwrócił się do swej młodej żony i spojrzał na nią!... Serce w piersi jego uderzyło silniej wobec takiej piękności. Hewa stała przed nim uśmiechnięta z dziewiczą skromnością i drżąca pod wpływem żądz nieznanych; długie jej rozpuszczone włosy owijały ciało, otaczając kapryśnymi zwojami twarz zawstydzoną i jej nagie piersi, podnoszące się ze wzruszenia.

Adima z nieśmiałością zbliżył się do niej. Zdala słońce tonęło w oceanie, kwiaty bananów otworzyły się, aby wciągnąć rosę wieczorną; tysiące ptaszków o różnobarwnem upierzeniu szczebiotało cicho na wierzchołkach palm, żuczki błyszczące światłem łagodnem latały w powietrzu i te cudne dźwięki całej przyrody leciały ku Bramie, który cieszył się z tego w swem mieszkaniu niebieskiem.

Adima odważył się dotknąć ręką pachnących warkoczy swej towarzyszki i uczuł, że dreszcz rozkoszy przebiegł po ciele Hewy, a dreszcz ten przejął go także. Objął ją ramionami, a na czole złożył pierwszy pocałunek, szepcąc imię Hewy, które jej nadał Stwórca... Adima! słonko odpowiedziała młoda kobieta i wzruszona, zemdlona padła w objęcia swego małżonka.

Noc nastąpiła, zamilkły ptaszki na drzewach. Stwórca był zadowolony, bo zrodziła się miłość...

Tak chciał Brama dla nauczenia swych stworzeń, że połączenie mężczyzny z kobietą bez miłości jest potwornością, przeciwną naturze i jej prawom.

Adima i Hewa żyli czas pewien w szczęściu zupełnem; żadne cierpienie nie zakłóciło ich rozkosznego istnienia.

Dość było wyciągnąć rękę, aby zerwać z drzewa owoc najsmaczniejszy, dość było nachylić się, aby zebrać ryż najdelikatniejszy i najpiękniejszy.

Lecz dnia pewnego jakiś niepokój zaczął ich opanowywać. Zazdroszcząc szczęściu ich, Rokszazas, duch złego, szatan, zaczął im podsuwać żądze, nieznane dotychczas. Przejdźmy się po wyspie rzekł Adima do swej towarzyszki i obaczmy, czy nie znajdziemy miejsca jeszcze piękniejszego nad to, gdzie się znajdujemy.

Hewa poszła za mężem. Szli tak przez wiele dni i miesięcy, zatrzymując się u brzegu czystych strumieni, pod cieniem olbrzymich drzew, które ich kryły od promieni słonecznych... Lecz w miarę im się więcej oddalali, młoda kobieta czuła się niespokojniej-

szą; jakaś trwoga niepojęta ją dręczyła.

— Adima, rzekła, nie idźmy dalej; mnie się zdaje, żeśmy nieposłuszni Panu, bo porzuciliśmy miejsce, które on przeznaczył nam na mieszkanie!

— Nie obawiaj się, odrzekł Adima, to nie ta ziemia bezludna i pusta, o której nam mówił Brama.

Szli więc ciągle dalej...

Przybyli nareszcie nad brzeg wyspy Ceylon. Przed nimi znajdowała się niewielka przestrzeń morza, a za nią obszerna ziemia, która zdawało się nie miała końca. Wązka ścieżka utworzona przez podwodne skały wyglądała z wody, łącząc wyspę z nieznaną ziemią.

Podróżni zatrzymali się zachwyceni. Kraj, który widzieli był pokryty wysokiemi drzewami, ptaszęta o tysiącu pysznych barw latały wśród liści. Ach, jak tam pięknie! zawołał Adima i jakie cudowne owoce muszą być na tych drzewach! Pójdźmy pokosztować, a jeżeli ten kraj jest lepszy od naszego, tam umieścimy nasz namiot.

Hewa drżąc z bojaźni prosiła Adima, ażeby nie czynił niczego, coby mogło rozgniewać Pana na nich. Czyż nam nie dobrze w tem miejscu? Mamy wodę czystą i smaczne owoce, po cóż szukać innych rzeczy?

— Dobrze, więc wrócimy potem, rzekł Adima, cóż może być w tem złego, że obaczymy kraj nieznany, który się odkrywa oczom naszym.

I zbliżył się do skał. Hewa szła za nim drżąc z bojaźni i niepokoju. Adima wziął żonę na barki i zaczął przechodzić przestrzeń, która oddzielała ich od przedmiotu życzeń.

Zaledwo jednak dotknęli ziemi, usłyszeli łoskot straszny, drzewa, kwiaty, owoce, ptaszki, wszystko co widzieli z drugiego brzegu, znikło w jednej chwili, skały wystające z wody zatonęły w falach, kilka tylko pozostało nad powierzchnią wody, aby pokazać miejsce, które gniew niebieski zniszczył.

Roślinność, którą zdala widzieli, była tylko złudzeniem, które urządził Rokszazas, aby doprowadzić ich do nieposłuszeństwa.

Adima przerażony, płacząc upadł na goły piasek, ale Hewa przybiegła, podniosła go i rzekła:

— Nie rozpaczaj, prośmy lepiej Stwórcę wszechrzeczy, aby nam przebaczył. A gdy tak mówiła, usłyszeli głos z obłoków:

— Kobieto! tyś zgrzeszyła tylko przez miłość dla twego męża, którego ci kazałem kochać; tyś nie straciła zaufania do mnie. Ja ci przebaczam i jemu dla ciebie. Lecz nie wrócicie już do tych miejsc rozkoszy, które stworzyłem dla waszego szczęścia. Przez wasze nieposłuszeństwo mym rozkazom, duch złego opanował ziemię... Dzieci wasze zmuszone cierpieć i pracować w skutek waszej winy, staną się złemi i zapomną o mnie. Lecz ja ześlę Vishnu, którego pocznie w łonie swem dziewica i który przyniesie wszystkim nadzieję i nagrodę w przyszłem życiu i wskaże, jak mnie przebłagać i ulżyć ich cierpieniom.

Wstali więc pocieszeni, lecz od tej chwili musieli pracować ciężko, ażeby uzyskać z ziemi potrzebne im pożywienie.

D-r. I. Stella-Sawicki.

Drobna rybka.

„Czcigodny Panie, Ojcze i Dobrodzieju!“ — pisał brulion listu z powinszowaniem świąt Niewyrazimow, „czynownik“ niższego stopnia. „Życzę spędzenia nadchodzących świąt i wielu następnych w dobrem zdrowiu i pomyślności... A także i dla czcigodnej rodziny zasyłam...“

Lampa, w której dopalała się już nafta, kopciła i wydawała niemiły swąd. Po stole, około ręki piszącego urzędniczka, biegał wystraszony karaluch, który się widocznie zabłąkał. W trzecim pokoju portyer Paramon czyścił już po raz trzeci swoje odświętne buty i to z taką energią, że po całem biurze rozlegały się odgłosy jego popluwania na czernidło i tarcia szczotki o buty.

— Cóżby tu jeszcze napisać do tego niegodziwca? — rozmyślał Niewyrazimow — podnosząc oczy ku zakopconemu sufitowi.

Na suficie zobaczył ciemny krąg — cień rzucany przez abażur lampy... Poniżej znajdowały się gzemsy, a wyżej jeszcze ściany, pomalowane onego czasu na kolor szaro-niebieski. Pokój dyżurny wydał mu się taką pustynią, że począł się litować nietylko nad sobą, lecz i nad karaluchem...

— Ja odbędę dyżur i pójdę sobie ztąd, a ten karaluch spędzi tutaj cały swój nieszczęsny żywot — pomyślał w duchu, przeciągając się. — Nudy! Możeby sobie buty wyczyścić, albo co? Przeciągnąwszy się raz jeszcze, Niewyrazimow powlókł się leniwym krokiem do pokoju portyera. Paramon skończył już czyszczenie butów.. Trzymając w lewej ręce szczotkę, czynił znaki krzyża prawą i nadsłuchiwał przez otwarte okno...

— Dzwonią! — szepnął do Niewyrazimowa spoglądając na niego nieruchomemi, szeroko rozwartemi oczyma. — Już się zaczęło!

Niewyrazimow nadstawił również ucha i słuchał. Przez okno wraz ze świeżem, wiosennem powietrzem zalatywał dźwięk uroczysty dzwonów. Dzwonienie wielkanocne wytwarzało chaos z turkotem kół powozów, a wśród tego chaosu dominował silny, tenorowy dźwięk dzwonów najbliższej cerkwi i czyjś głośny, piskliwy śmiech.

— Jakież mnóstwo ludzi! — westchnął Niewyrazimów, wyjrzawszy na ulicę, gdzie przy świetle gorejących kagańców przewijały się nieustannie cienie ludzkie. — Wszyscy spieszą na jutrznię... Nasi teraz podpili sobie nie źle i używają przechadzki po mieście. Wesoło tam i gwarno! Tylko ja jeden jestem taki nieszczęśliwy, że muszę sterczeć tutaj, w taki uroczysty dzień! I to co rok tak bywa!

— A któż panu każe wynajmować się? Przecież na pana nie wypadała dziś kolej dyżurowania, aleś się pan wynajął na zastępstwo Zastupowa... Kiedyś pan miał ochotę pohulać nie należało się wynajmować... Chciwość i koniec...

— Jaka tam u licha chciwość?! Nie miałem się znowu tak bardzo łakomić: dwa ruble gotówką i krawat w dodatku... Potrzeba, ale nie chciwość! A dobrzeby było pójść teraz w kompanii na jutrznię, potem zaś przekąsić!... Wypić porządnie, najeść się i gruchnąć spać... Siedzi sobie człowiek przy stole, chrupie święcony kołacz, samowar syczy sobie na boku, a przy człowieku siedzi młoda żonka... Łyknęło się kieliszeczek wódki, żonkę pod brodę pogłaskało i miło się na duszy robi... Czuje się, że się jest człowiekiem... At!.... Zmarnowane życie! Oto jakaś damulka przyjechała karetą, a ty siedź w budzie i rozpamiętywaniom się oddawaj...

— Na każdego czas przyjdzie, Iwanie Daniłowiczu. Da Bóg, to i pan się dosłużysz i zaczniesz karetami jeździć..

— Ja? No, kpisz sobie chyba, mój bracie! Ja dalej niż do honorowego radzcy nie drgnę, choćbym pękł... Nie mam kwalifikacyi...

— Nasz jenerał, nie miał również kwalifikacyi, a jednak...

— Ale jenerał, zanim dobił się swego stanowiska, ukradł sto tysięcy... Prezencyę ma przytem lepszą odemnie... Z moją prezencyą niedaleko zajdziesz! Jednem słowem, bracie, położenie bez wyjścia... Żyj jak chcesz a jak nie chcesz — to się powieś...

Niewyrazimow odszedł od okna i począł przechadzać się po pokojach... Jęk dzwonów wzmagał się coraz więcej. Nie trzeba było stać przy oknie, aby go słyszeć. A im donioślejszymi stawały się dźwięki dzwonów i turkot

kół powozów, tem ciemniejszemi wydawały się ściany kancelaryjne i grzemsy, a kopeć lampy stawał się nieznośniejszym.

— Możeby drapnąć z dyżuru? — pomyślał Niewyrazimow.

Lecz ucieczka ta nie zapowiadała żadnych dobrych następstw... Gdyby nawet wyszedł z kancelaryi, powłóczył się po mieście, musiałby następnie udać się do swego mieszkania, tam zaś było jeszcze brudniej i bardziej pusto niż w biurze. Z drugiej znów strony, choćby mu się udało spędzić dzień świąteczny przyjemnie, to cóż dalej? Po świętach trzeba wrócić do tych szaroniebieskich ścian, wynajmować się na dyżury i pisać listy z powinszowaniami...

Niewyrazimow stanął na środku pokoju i zadumał się.

Tęsknota domowego, lepszego życia, opanowała i dręczyła boleśnie jego serce... Zachciewało mu się koniecznie znaleść się na ulicy, wmieszać się w tłum, być uczestnikiem ogólnego wesela. Radby był, aby się wróciły te czasy, jakie przeżył w dzieciństwie: kółko rodzinne, uroczyste fizyognomie najbliższych, biały obrus, światło, ciepło... Przypomniała mu się kareta, w której przyjechała jakaś pani, palto, z którego dumny był elegant egzekutor, złoty łańcuszek, zdobiący brzuch sekretarza... Przyszły mu na myśl ciepła pościel, order św. Stanisława, nowe buty, wice mundur bez wytartych rękawów... Myślał o tem wszystkiem dlatego, że wszystkiego tego nie posiadał...

— A gdyby tak co ukraść? — pomyślał. — Ukraść, dajmy na to, nie trudno, ale schować sztuka!... Powiadają, że z kradzionem uciekają złodzieje do Ameryki, ale licho ją wie, gdzie ona się znajduje ta Ameryka! Do tego, żeby kraść, trzeba także mieć odpowiednie kwalifikacye.

Dzwony umilkły... słychać jeszcze było oddalony turkot kół powozów i kaszel Paramona, a smutek i rozżalenie Niewyrazimowa wzmagały się coraz nieznośniej. Zegar biurowy wydzwonił pół do pierwszej.

— A możeby denuncyacyę napisać? Proszkin zadenuncyował i poszedł w górę...

Niewyrazimów usiadł przy stole i począł rozmyślać. Lampa gasła już i kopciła nieznośnie. Zbłąkany karaluch uganiał się jeszcze po stole, nie mogąc znaleść sobie schronienia...

— Zadenuncyować można, ale jak tu zredagować! Trzebaby użyć wszelakiego rodzaju dwuznaczników, podstępnych słówek, tak, jak to uczynił Proszkin... Ja nie umiałbym! Nabazgrałbym tyle głupstw, że sambym jeszcze się złapał... Niech djabli porwą. Nie mam i do tego najmniejszych kwalifikacyi!...

Niewyrazimow długo łamał sobie głowę nad wybrnięciem z opłakanego położenia, spojrzał wreszcie na rozpoczęty brulion listu. List pisany był do zwierzchnika, którego nienawidził z całej duszy, bojąc się go. Od dziesięciu lat już błagał tego człowieka o awans z szesnastorublowej pensyi na ośmnastorublową...

— Aaa... kręcisz się tu jeszcze łajdaku! — zawołał nagle, przygniatając ze złością karalucha, który na swoje nieszczęście nawinął mu się przed oczy. — Obrzydliwy owad!

Karaluch wywrócił się do góry nogami i począł niemi rozpaczliwie przebierać... Niewyrazimow schwycił go za nogę i wrzucił w dogasający płomyk lampy... Płomyk buchnął w górę, zatrzeszczało w lampie. Niewyrazimow doznał ulgi na sercu i uspokoił się...

A. P. Czechow.

Tłom. z ros. *G. W.*

Helena Modrzejewska
na naszej scenie.

(„Marya Stuart" — tragedya Fr. Schillera. „Gniazdo Rodzinne" — sztuka H. Sudermanna.)

Modrzejewska! Magiczne to słowo tchnęło potężną iskrę życia w nasz teatr, zmieniło niby za dotknięciem różczki czarodziejskiej gmach, często opustoszały, posmutniały i czegoś tęskny, w rzeczywisty przybytek sztuki.

Zewnątrz, przed umajonym zielenią frontem snuły się tłumy, ruch i gwar niezwykły mięszał się z turkotem, a chociaż ten i ów z starszej generacyi mógł melancholicznie kiwać głową, zaobserwowawszy, że rodzajowy obraz przed teatrem uronił coś z swej dawnej świetności, że piękne ekwipaże, co niegdyś z wygalowaną służbą defilowały przy takich okazyach w karnawale w długim szeregu, zastąpiły obecnie pospolite dorożki — wszystko zdradzało święto w teatrze.

W ramach teatru — inny obraz. Na parkiecie głowa przy głowie, wszystkie miejsca i zakątki zajęte, w blaskach rozkładających ciepłe tony kąpie się barwne zbiorowisko, w girlandy różnokolorowych sukni balowych wplatają się czarne plamy surdutów i śnieżne tarcze koszul frakowych, a nad tem wszystkiem w uroczystej atmosferze drga wielkie oczekiwanie. Aż odzywa się dzwonek, szmer przycicha, zamiera i oczy zwracają się tam, gdzie za chwilę ma ukazać się polska *diva*.

I po wstępnej scence staje na wywyższeniu w głębi ekskrólowa Szkocyi, zawsze królująca nad umysłami, witana salwami oklasków serdecznych, przeciągłych, bez końca. P. dyr. Ryger z kwiecistą lyrą w ręku wita „arcykapłankę sztuki,'' wyrażając Jej wdzięczność, że przybyła znowu w progi teatru poznańskiego, niosąc z sobą światło z świątyni Piękna. A tłumy widzów solidaryzują się z słowami dyrektora, oklaskami wyrażając powtórnie swą radość, wdzięczność i podziękę.

* * *

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Modrzejewska jest idealnem skończonem wcieleniem schillerowskiej Maryi Stuart. Jeżeli, tworząc ten dramat, niemiecki poeta miał przed oczyma duszy wymarzoną najdoskonalszą wykonawczynię swej kreacyi, portret ten musiał być portretem Modrzejewskiej. Zdaje się, jakby Schiller na wzór nowoczesnych dramatopisarzy, co nieraz pragnąc stworzyć dla wielkiej artystki popisową rolę, przykrawają bohaterkę swego utworu stósownie do smaku, zdolności i temperamentu tejże — napisał „Maryą Stuart'' dla Modrzejewskiej, sfałszował charakter historycznej królowej Szkocyi, ulepił i wymodelował jej postać tak, aby w wiele lat później nasza artystka mogła ukazać perły swego talentu w pełnym blasku, olśniewać tłumy swą królewskością i swą posągowością.

Królewskość i posągowość swoją posuwa Modrzejewska do idealnych wyżyn. Czy to w obejściu z służbą, czy wobec brutalności Burleigha lub Elżbiety, czy w tragicznych momentach przedzgonnych, zarówno w dykcyi, intonacyi jak w wyrazie twarzy, giestach, ruchach i w postawie jest to królowa, iście królewska, a ujmująca — nie wdziękiem kobiecości przyćmionej w myśl poety aureolą majestatu, lecz nieuchwytną słodyczą wielkiej pani, w której poczucie godności osobistej zlewa się harmonijnie w jeden akord z łagodnością i miłością bliźniego. Każe schylać głowy przed sobą, a każe się zarazem miłować, każe się podziwiać i każe się litować nad sobą, każe się uważać za wywyższoną przez los, a blizką węzłem ogólno ludzkiej braterskości.

Spróbujmy uchylić rąbek zasłony na sztukę Modrzejewskiej.

Zbliża się ostatnia godzina. Nie-

szczęsna królowa, wpółleżąc na ramieniu zakonnicy zstępuje słabym krokiem w koło swej wiernej służby. Jak mistrzowsko obmyślanym jest lekki ruch, jakim artystka w tym momencie odrzuca głowę, wywołując tym arcydrobnym środkiem niezmierny efekt! Z pomocą tego ruchu wielka artystka upewnia nas, że „Marya Stuart“ pozostała dumną królową nawet wobec majestatu śmierci i zniewala nas do baczniejszego objęcia wzrokiem jej postaci. Uderza nas skurcz twarzy, na której obok bólu, smutku i powagi grobowca rzeźbi się pokój duszy i bezbrzeżna rezygnacya skazanej a z Bogiem pojednanej pani. Draperye sukni układają się (nie przypadkowo) w harmonijne linie jak u kobiecych postaci z klasycznych płocień Alberta Moore'a i zlewają z głową, słaniają się na bok, w jednę całość w rysunku prawdziwie szlachetną, klasycznie piękną, skończoną. I ot stoi przed nami cudny posąg nieszczęsnej królowej, który artystka z subtelnem obrachowaniem na efekt pozwala nam podziwiać przez dłuższą chwilę i zda się, iż wszystka wielkość i świetność tego świata obalona, zdruzgotana obuchem kapryśnego losu, zstępuje w aureoli uszlachetniającego cierpienia, cicha i królewska, w pozaświatową czerń.

W pyłku dojrzeć można świat cały, w tym drobiazgu — sztukę Modrzejewskiej.

A przytem posągowa królowa gra na strunach naszej duszy słowem, płynącem melodyjnie jakby nam chciała zarazem mówić o piękności mowy polskiej. W deklamacyi Modrzejewskiej każdy zwrot, każde zdanie jest tak przemyślanem, odczutem i wygłoszonem, że dochodzi ona do szczytu deklamacyi, gdzie deklamacya staje się mową. Innemi słowy w koturnowy wiersz, który w innych ustach wydał-by się czczym frazesem, Modrzejewska potrafi tchnąć ducha i tak zatem wszystkimi środkami artystycznymi czy to wewnętrznymi, czy zewnętrznymi, jakie ma na swe usługi aktor, wielka artystka oddziaływa na widza, posługując się nimi z maestryą, w której nie wiem co więcej podziwiać, drobiazgową skrupulatność, ogromną znajomość sceny, co pozwala jej zrealizować wrażenia wywołane u widza tonem głosu, mimiką i giestykulacyą, czy wikwintny smak estetyczny i poczucie piękna. Zwłaszcza tych właściwości pozazdrościła-by naszej artystce jej angielska współzawodniczka Ellen Terry i tyle innych wybitnych artystek.

Wszystko co powyżej różniczkując, wysnuliśmy z gry Modrzejewskiej, spaja artystka w jeden akord, w wysoce stylową kreacyę Maryi Stuart, która pozostawia wrażenie czegoś absolutnie skończonego, przeczystego a więc w pełnem tego słowa znaczeniu artystycznego tak, iż głosy krytyki zamieniają się w dytyramby, w jeden hymn zachwytu.

* * *

Po Maryi Stuart grając Magdę w „Gnieździe rodzinnem“, przerzucając się od kreacyi klasycznej do realistycznej, Modrzejewska odsłoniła inną stronę swego tytanicznego talentu. Z schillerowskiej królowej, niby zdjętej z wyidealizowanego portretu, przekształciła się w rzeczywistą nowoczesną kobietę, przyczem należało się wyzbyć wielu z swych cennych środków scenicznych, i dała nam nową wielce interesującą wersyę Magdy.

Z burzy życiowej wyniosła śpiewaczka stargane nerwy, zacięcie cygańsko - artystyczne, pojęcia szerokie, indywidualność skrystalizowaną i szlachetne poczucie swego człowieczeństwa a więc wszystko, co w niezmiernie ciasnem gnieździe despotyzmu rodzicielskiego, bezdusznej formalistyki i parafiańszczyzny musiało doprowadzić do konfliktu dwóch krańcowych światów. Nasza artystka więcej zbliża się w swej interpretacyi do sfery domu rodzicielskiego, jest w niej więcej łagodności, więcej „dobrego“ wzięcia, jest więcej kobietą a mniej artystką aniżeli Sara Bernhardt i Eleonora Duse w swych kreacyach. Magda francuzkiej artystki posiada w swym charakterze pewien podkład namiętny, temperament erotyzmem zaprawiony, zapalny i tryskający żywo, a Duse, realistka per excellence, daleko mniej „stagely“ teatralna od naszej klasycznej mistrzyni, tworzy z Magdy wysoce uduchomnioną, subtelnie a gorąco czującą kobietę z cieniem dwunastoletnich przejść na czole, tak wydaje się jednym zwitkiem nerwów. Jakoż w kulminacyjnej scenie sztuki, gdy dawny kochanek oświadczynami swemi a mianowicie odtrącaniem dziecka wywołuje przesilenie w duszy Magdy, tak iż zrywa ona kajdany woli ojcowskiej — Duse mimiką dosadnio wyraża skalę stopniowanych, pogardliwych uczuć dla poglądów praktycznego karyerowicza i policzkuje go wzrokiem, w tej scenie z dawnym kochankiem znajdując odwet za porzucenie. Natomiast Magdę Modrzejewskiej nie rażą cele ni poglądy kandydata na lokalną wielkość, dopiero uderzona w najczulszą strunę kobiety, w strunę macierzyńską, wybucha ona płomieniem, wyłamuje się z kleszczów, staje się sobą. W tym momencie Modrzejewska powstaje ślicznym ruchem, idzie na środek sceny i w efektownej postawie ciska radcy w twarz słowa oburzenia, pogardy, prawdy, tak jakby zrobiła to klasyczna heroina. A przytem suknia zawija się wkoło nas, układa się w fałdy tak, że Magda zda się jedną z wytwornych statuetek Straetena.

Nie odrzynając się bardzo jaskrawo od tła, Magda w tej interpretacyi mogła-by wtłoczyć się w ramy miasteczka, skurczyć duchowo, skarłowacieć, a jeżeli tak się nie dzieje — wina okoliczności.

Nasi artyści sekundowali dostojnemu gościowi doskonale, szczególnie p. *Ryger*, który świetnie opracował swą rolę i stworzył znakomicie pułkownika, wstrętnego w swej pruskiej sztywności, w swym bezdennym konwencyonalizmie, w swej kamiennej pysze, w niemal nieprawdopodobnej oschłości serca, przyczyniając się wielce do uświetnienia interesującego wieczoru.

Roman Rola.

Wiadomości.

— **Z powodu** zepsucia się rotacyjnej maszyny podczas druku zeszłoniedzielnego numeru 7-go „Pracy" wydanie tegoż numeru tak na miasto jako też na pocztę opóźniło się znacznie, gdyż musieliśmy prawie cały nakład działu politycznego drukować na maszynach zwyczajnych.

Za spowodowane z przyczyny powyższej opóźnienie przepraszamy Szan. Czytelników.

Wydawnictwo „Pracy".

— **„Savon"**, nowa poznańska parowa fabryka mydła. Celem podniesienia przemysłu rodzimego, a zwłaszcza niewyzyskanej dotąd zupełnie gałęzi jego — fabryki mydła — zebrało się liczne grono przemysłowców, kupców oraz osób życzliwych przemysłowi w dniu 6 b. m. i zawiązało Towarzystwo z ograniczoną poręką pod firmą: „Savon G. m. b. H. Do Rady Nadzorczej wybrano pp.: Biedermanna Marcina, Czepczyńskiego Józefa, Frankiewicza Ludwika, dr. Hącię Kaźmirza, Jezierskiego Leona, Kratochwilla Maryana, Rittera Zacheusza, Skrzydlewskiego Franciszka, Sobeckiego Jana. Jednocześnie podaje się do wiadomości, że deklaracye na dalsze udziały po mk. 1000 przyjmuje Bank Kratochwill & Pernaczyński, Poznań — Posen, dokąd również skierować należy korespondencyą wszelką, dotyczącą nowego przedsiębiorstwa.

Koncert „Lutni" odbył się dnia 15 lutego przy tłumnym udziale publiczności. Z tego okazuje się jak popularną jest „Lutnia" w szerokich kołach poznańskich. Wkłada to na członków obowiązek gorliwej pracy. Najlepiej wypadł z popisów choralnych dobrze wyćwiczony wstęp do „Manru," odśpiewany przez chór żeński i p. K. Lipińską. Chór mieszany zaprezentował się w dwóch kompozycyach i życiu cygańskiem Schumanna, które wypadło poprawnie i „Życzeniu" Chopina, które nie nadaje się dla chóru, zwłaszcza nie dość wyszkolonego i wydoskonalonego, bo traci wiele z poetyckiego czaru, jaki wywiera przecudna pieśń: „Gdybym ja była gwiazdeczką na niebie", w odpowiedniem oddaniu solowem. Kwartet męzki — słaby; „Noc majowa" Kotarbińskiego rwała się fatalnie. Pan dr. K. *Jarnatowski* znany jest Poznaniowi jako skrzypek przekraczający miarę dyletantyzmu. Ślicznie oddał Marzenie Schumanna, Romans Wieniawskiego i Pieśni Sarasatego.

Wieczór uświetniła pani *Konstancya Lipińska* z muzykalnego Lwowa, artystka operowa, która mogła-by stanowić cenny nabytek każdej wielkiej opery. Posiada bowiem dobrą szkołę, młody, dość ciepły koloraturowy mezzosopran o obszernej skali, którym posługuje się umiejętnie. Zauważyliśmy tylko pewien brak ciepła i przejęcia się w wykonaniu, wskutek czego n. p. romans Vorrei morrir nie dość przemówił do serca słuchaczy. Arye operowe były głównym popisem p. Lipińskiej, a najwięcej z nich podobała się Habauera z „Carmen." P. Lipińskiej wróżyć można piękną karyerę na deskach opery. Poznań i Lutnia mogą jej być wdzięczne za współudział w koncercie.

R. R.

— **Szan. Czytelnikom** zwracamy uwagę na ogłoszenie *Księgarni Chrzanowskiego i Kucnera* w Poznaniu (naprzeciw kościoła św. Marcina) która to firma poleca najrozmaitsze książki do nabożeństwa dla każdego wieku i stanu w prześlicznych oprawach i po bardzo tanich cenach. Oprócz tego powyższa księgarnia posiada na składzie ogromny wybór dzieł we wszystkich gałęziach wiedzy, mianowicie polecenia godne tanie wydania Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Konopnickiej i wiele jeszcze innych.

Następnie obrazy, karty pocztowe, reprodukcye polskich malarzy, obrazy wykonane sposobem Szczepanika na jedwabiu i w końcu skład papieru. We wszystkiem wogóle, co ma związek z księgarnią i składem papieru, lub pracą peryodyczną interesowani znajdą chętną usługę, wskazówki, i objaśnienia. Polecamy bardzo powyższą księgarnią uwadze Czytelników naszych.

— **Zwracamy** uwagę na anons szczecińskiego hurtownego handlu śledzi i nafty, *Maciejewski i Sp.*, W. Garbary 23, polecającego na zbliżający się post śledzie we wszelkich gatunkach oraz naftę. Polecamy firmę tę polską uwadze Czytelników.

† **Z miasta.** (Wspomnienie pośmiertne). „W Genui na Campo Santo, na jednym z najpiękniejszych cmentarzy włoskich jest nagrobek pełen głębokiego pomysłu, z bielutkiego wyciosany marmuru.

Widzisz konającą 18-letnią dziewicę, obok niej Chrystus ścinający białą lilię... Oby ten obraz, stroskani rodzice, służył wam ku pociesze i osłodzie... Może waszego syna młode życie przeciął Jezus sierpem, by duszę jego czystą jak lilia, zabrać na ozdobę ogrodów swych niebiańskich!"

Te słowa wzniosłego porównania wyjęliśmy z mowy żałobnej zacnego kapłana, wypowiedzianej nad mogiłą młodzieńca, wyrwanego nagle z łona rodziny, pokładającej w nim swe najpiękniejsze nadzieje. Młodzieńcem tym był śp. *Witold Bło-*

ciszewski, syn Bolesława i Jadwigi z Kąsinowskich, urodzony 6 stycznia 1878 roku w Przecławiu, liczący zaledwie 25 wiosen, ale już zabierający z sobą do Boga liczne świadectwa i czystości i szlachetności swego serca.

Ś. p. Witold pochodził po mieczu i po kądzieli z rodzin staropolskich, nie goniących za sławą i rozgłosem, ale zasłużonych skrzętną pracą wobec Kościoła, Ojczyzny i społeczeństwa.

Po ukończeniu uniwersytetu w Hali, obrał bez wahania zawód gospodarczy, chcąc się poświęcić całą duszą, tej ukochanej ziemi ojczystej. Był bowiem od dziecka niezwykle pracowitym, sumiennym i nad wiek roztropnym, obok tego odznaczał się nadzwyczajną skromnością i uszanowaniem dla starszych. Dla ludu wiejskiego miał szczególne zamiłowanie i uprzejmością swoją w lot zdobywał jego serce.

Na początku grudnia roku zeszłego w przejeździe przez Poznań zaniemógł w domu rodzicielskim i to od razu tak niebezpiecznie, że mimo najstaranniejszej opieki rodziców, lekarzy i Sióstr Elżbietanek, po kilkunastu dniach bezustannej nieomal maligny, zakończył wiosenne życie na dniu 28 grudnia 1902 r.

Jak w ciągu choroby i po jego zgonie doznali i doznają dotąd złamani bólem rodzice ś. p. Witolda, bardzo licznych dowodów współczucia i uznania niepowetowanej straty — tak pogrzeb jego, który się odbył 2-go stycznia r. b., był dla nich dowodem, ile śp. Witold w swej krótkiej na ziemi pielgrzymce umiał sobie swem postępowaniem zaskarbić nietylko przyjaźń, ale także i rzetelny szacunek.

— **Gniezno.** Gimnazyastom gnieźnieńskim posądzonym o należenie do tajnych związków doręczono świeżo akt oskarżenia, który zawiera 36 stron. Przeciw podobnym zbrodniarzom trzeba było naturalnie dużo użyć argumentów, żeby módz dowieść ich okropnych win.

— **Chełmża (Pr. Zach.)** Pan Władysław Czujczyński z Torunia nabył w mieście naszem interes towarów kolonialnych i delikatesów pod firmą: I. A. Laube. Handel ten, który się znajdował od dawna w rękach niemieckich, prosperuje bardzo dobrze. Młodemu nabywcy: Szczęść Boże!

Zmarli.

† *Ś. p. Teodor Mieczkowski* dnia 10 b. m. w Lesznie. Pogrzeb odbył się w Błociszewie.

† *S. p. Julia z Parczewskich drowa Antoniewiczowa* dnia 12-go b. m. w Poznaniu.

† *S. p. z Kaczmarków Jadwiga Glabiszowa* w Kobylepolu pod Poznaniem w 30-ym roku życia, dnia 12-go b. m. Pogrzeb odbył się dnia 16-go b. m. w Spławiu.

† *S p. Kazimierz William* dnia 11-go b. m. w Rojewcu.

† *S. p. Kazimierz Ulkowski* dnia 12 b. m. w Gnieźnie.

† *S. p. Józefat Łukowski*, nauczyciel emeryt, dnia 13-go b. m. w Gnieźnie, przeżywszy 87 lat.

† *S. p. Teofila z Styrmerów Lisiewska* dnia 12-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 48.

† *S. p. Antoni Dybizbański* dnia 12 b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 57.

† *S. p. Agnieszka z Kurczewskich Bilichowa* w Poznaniu dnia 13-go b. m. w skończonym 80 roku życia.

† *S. p. Stanisław Żurkiewicz*, były dysponent młyna parowego Grabski, Wilkoński i Sp. w Inowrocławiu, dnia 12-go b. m.

† *S. p. Roman Rogała Koczorowski* dnia 14-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy 60 lat.

Ruch w Towarzystwach.

Gniezno. Tutejsze Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" urządza w niedzielę, dnia 22 b. m. na sali hotelu Europejskiego (B. Koschnicke) przedstawienie amatorskie. Odegraną zostanie wielce zabawna i przeplatana jędrnemi dowcipami komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego p. t. „Dom otwarty." Towarzystwo nasze tuszy sobie, iż Szan. Publiczność z miasta jak i z okolicy licznie przybędzie na owo przedstawienie, dokumentując tem żywe zainteresowanie się naszą bracią sokolską. Po przedstawieniu zabawa z tańcami, na którą najuprzejmiej zaprasza Wydział.

Od Redakcyi.

Pani drowej Ul. w Gnieźnie. — Odebraliśmy, ale dla braku miejsca dotychczas nie mogliśmy zamieścić.

Panu J. B. w Poznaniu. — Sprawa Pańska należy do działu ogłoszeń, więc każ Pan zamieścić inserat w „Pracy" i zgłoś się następnie po oferty do naszego administratora, p. W. Szmytkowskiego.

Panu K. S. w W. — Trudno zrozumieć o co tu Szanownemu Panu chodzi, a „*talętu*" dopatrzyć się to już bardzo trudno.

Panu Michałowi D. w K. — Pomimo uprzejmie nam nadanej godności „*opoki wierszoklitów*" nie możemy zwrócić na Szanownego Pana „*łaskawego oka*" i wiersz Jego przeznaczamy do kosza!

Nowicyuszowi. — Bardzo dziękujemy za tak ładny list i prosimy nadesłać do „Pracy" raz po raz korespondencye, jak znajdzie się odpowiedni materyał.

Panu I. S. w Krążkowie. — Dziękujemy za nadesłanie listu, ale aby go właściwie ocenić, musielibyśmy wiedzieć dokładnie, kto go pisał, czy gospodarz, czy robotnik. Nazwisko samo nie mówi wiele. Zresztą nie moglibyśmy opublikować tego listu.

Wiadomości literackie.

Pan Kazimierz Chłapowski napisał książeczkę pod tytułem: „*Nawozy sztuczne w zastósowaniu do Ogrodnictwa*", Poznań, Drukarnia Ś-go Wojciecha. — Jest to, jak autor mówi na wstępie, rozszerzony wykład, który miał na Walnem Zebraniu Tow. Rolniczego w roku przeszłym. Ofiaruje go lubownikom i lubowniczkom ogrodnictwa i ogrodnikom z zawodu.

Książeczka wydana starannie z rycinami objaśniającemi tekst, wykonanemi po części w Poznaniu (A. Fiedler) czyta się łatwo i daje w nauce dość jeszcze nieznanej — wskazówki dla niejednego bardzo interesujące. Zachęca do zajęcia się ogrodem jako — spoczynek po pracy — uspokojenie umysłowe po troskach dla ludzi różnych stanów i stanowisk, bo jak mówi: „Tyle ma radości z kilku wesoło na oknie rozkwitłych geranii zarabiająca na życie panienka — ile wielka pani z pięknego parteru, zasadzonego pod jej dozorem i podług jej planu."

Do „Pracy."

„Praco!", tyś godna pochwały,
Czyta cię duży i mały,
Czytają cię dziady, wnuki,
Dajesz im piękne nauki.
„Praco!", tyś dobrego wzroku,
Widzisz zgubę w każdym kroku,
Ty też radzisz i nauczasz,
Dobre ziarno w ziemię rzucasz.
„Praco!", idziesz w domy, chaty,
Czyta cię biedny, bogaty;
Od wszystkich jesteś kochana
Każdy ci śpiewa: „oj dana!"
„Praco!" piszesz i powieści,
Wesołość się w tobie mieści,
Nie zważasz na konfiskaty,
Ani na kary, na straty.
„Praco!" ty przetrwałaś wiele,
Wciąż godzą na cię nieprzyjaciele,
Lecz tyś jest nie ulękniona,
Dzielnym hartem żeś spojona.

Wierny Abonent
Mikołaj Wabich
z Augustowa pod Barcinem.

Humorystyka.

Dwie.

I.

„*Kocham ciebie a jednak*
twoją być nie mogę...
„*Ja karetą chcę jechać*
przez życiową drogę."
Irena.

II.

„*Jestem twoją, bo kocham,*
życie z tobą rajem...
„*Może mi dasz trojaka....*
chcę wracać tramwajem".
Mania.

Selim Mirza.

Napisał *Henryk Sienkiewicz.*

4)

(Ciąg dalszy.)

II.

Aż do departamentu Haute-Saone jechaliśmy mniej więcej krajem, zajętym przez francuzów, jakkolwiek, działające na południu armie bawarskie utrzymywały związek z pruską, oblegającą stolicę. Niebezpieczeństwo groziło nam tylko ze strony maruderów francuskich, których pełno było po drogach, i którzy tu i owdzie pozwalali sobie łupić i rabować. Nie obawialiśmy się ich jednak, tembardziej, że znowu jechaliśmy we trzech, bo jakkolwiek „waleczny syn Francyi", pan Vaucourt, odjechał inną drogą do Bordeaux, ale już drugiego dnia podróży przyłączył się do nas niejaki Jean Marx, z pochodzenia alzatczyk, młody osiemnastoletni chłopak, który nie bał się niczego na świecie i, po jednodniowej znajomości, byłby nawet w piekło za nami poszedł.

Kraj wszędzie nosił na sobie ślady wojny. Gdzieniegdzie trafialiśmy na zburzone wioski, których mieszkańcy kryli się za naszem zbliżeniem, pola leżały nieobrobione, miejscami spotykaliśmy gromadki wychudzonych i zgłodniałych biedaków, błąkające się nakształt widm po zeszłorocznych polach kartoflanych i wyszukujące przegniłych kartofli. Wojna wisiała w powietrzu nad całym krajem; wszędzie prawie towarzyszył nam zapach spalenizny. Nocami krańce widnokręgu często czerwieniły się łuną pożarną, po księżycu z odległych pustkowi dochodziły nas wycia psów. Kilkakrotnie trafialiśmy na pola bitew, na których nie było już wprawdzie trupów końskich i ludzkich, ale które poznawaliśmy po mnóstwie białych papierków z wystrzelonych ładunków. Miejscami papierki te pokrywały jakby śniegiem, ziemię, miejscami były rzadsze. Raz przyjechaliśmy do wioski zupełnie pustej, w której, prócz chudych kur, uciekających z krzykiem za naszem zbliżeniem, była tylko jedna staruszka, mająca pomieszanie zmysłów. Staruszka ta siedziała na przyżbie pół rozwalonej chaty i rozmawiała ze sobą głośno. Zaledwie mogliśmy z jej bezładnych odpowiedzi wywnioskować, że mieszkańcy parę dni temu strzelali do ułanów, teraz zaś uciekli, sądzili bowiem, że wioska będzie spalona. Pewnej nocy zapukaliśmy do chaty, w której okienku błyszczało światło. Przez długi czas nie chciano nam otworzyć, a wreszcie otworzył nam człowiek z twarzą tak podobną do głowy wilka, iż myśleliśmy, że to sam wilk przyjmuje nas w gościnę. Marks utrzymywał, że to jest obdzieracz trupów i nie radził nocować, bo, jak mówił, w nocy można dostać nożem pod żebro, ale, że byliśmy pomęczeni, więc postanowiliśmy pozostać. Wkrótce jednak nadeszło jeszcze czterech podobnych rzezimieszków i wszyscy poczęli nam się przypatrywać z podełba, spoglądając przytem z pożądliwością na nasze podróżne przybory. Marks został przy koniach na dworze, Mirza zaś, niewiele myśląc, wziął za gardło naszego wilka, przycisnął go do ściany i, przyłożywszy mu pistolet do paszczy, rzekł:

— Pomorek na ciebie, piekielne bydlę! Wypędź tych urwisów za drzwi, bo im i tobie we łby postrzelam, jeżli zaś w nocy coś zginie, będziesz wisiał.

Rzezimieszkowie mruknęli ponuro, jeden z nich oświadczył nawet, że jest z merostwa i hardo pytał nas o paszporty, w odpowiedzi na co, Selim pochwycił szpicrutę i począł okładać ich niemiłosiernie, szczególniej nie szczędząc pleców urzędnika z merostwa. Noc przeszła nam spokojnie, nazajutrz puściliśmy się w dalszą drogę.

Ale droga ta coraz była trudniejszą; wjechaliśmy teraz w kraj, prawie wyłącznie zajęty przez Niemców, między którymi kręciły się rzadkie oddziały wolnych strzelców, szczwane i pędzone wszędzie, jak dzikie zwierzęta. Wioski i miasta jednak mniej tu były zniszczone, niż na szlakach, na których spotykały się i walczyły dwie armie. Ludność nie narażała się Niemcom i znosiła ich przewagę, ale też prawie niepodobieństwem było otrzymać jakąś pomoc i wskazówki. Postanowiliśmy koniecznie dostać się do La Rochenoira, jakkolwiek zadanie to przechodziło siły ludzkie, ponieważ z jednej strony nikt nie wiedział, gdzie się La Rochenoire podziewa, a codzień koczował gdzieindziej; z drugiej strony, trzeba się było do niego dostawać prawie przez paszczę pruską ze wszystkich oddziałów bowiem, żaden nie był pilniej strzeżony i staranniej otaczany.

Mogę też powiedzieć, że wówczas już we trzech, z Marxem i Mirzą, rozpoczęliśmy prawdziwą wojnę na własną rękę. Posuwaliśmy się naprzód tylko nocami, kierowaliśmy się zaś według wieści o zabranych konwojach, rozbitych podjazdach, pochwyconych patrolach i tym podobnie. Ale też teraz byliśmy dobrani, jakbyśmy się w korcu maku szukali.

— Ach! cóż za wyborny był chłopiec ten Marx ze swoją alzacką flegmą, komiczną, zepsutą francuzczyzną i obojętnością na wszystko, co się koło niego działo. Chwilami zdawało mi się nawet, że odwaga jego płynie z nadmiaru przytępionej wrażliwości i z niezrozumienia niebezpieczeństwa. Ale był tego inny powód. Oto Marx nienawidził Niemców ze wszystkich sił duszy, a w temperamentach flegmatycznych nienawiści podobne szczególniej bywają zaciekłe. Posiadał jednak roztropność wyżła i więcej zimnej krwi, niż my obaj.

III.

Małą tylko część drogi przebyliśmy kolejami, wogóle bowiem drogi żelazne w okolicach, zajętych przez Francuzów, były zrujnowane, a wobec powszechnego pogromu i nieładu mało troszczono się o ich naprawę. Utrudniało to ruchy wojsk, ale wówczas wszystko składało się na klęskę Francyi.

Departament Wyższej Saony, w którym krążył La Rochenoire, zajęty był przez Niemców, dlatego, dostawszy się w jego granicę, znowu odbywaliśmy podróż lasami i prawie wyłącznie wśród nocy. Dni spędzaliśmy w chmielnikach lub w winnicach, śpiąc, czyniąc zwiady i obmyślając najbliższe do La Rochenoira drogi.

Na parę dni przed przybyciem do niego dotarliśmy do wioski, zwanej La Mare; nie było to po drodze, ale Selim twierdził, że musi się widzieć z mieszkającym tam od niejakiego czasu panem La Grange, którego znał jeszcze z Paryża.

Zbliżaliśmy się bardzo ostrożnie, było bowiem prawdopodobnem, że w wiosce znajdują się patrole bawarskie lub pruskie. Robiło się już ciemno, słońce zaszło i tylko w powietrzu świeciły rozproszone resztki światła zorzy. Okna w domach wiejskich poczynały także tu i owdzie się rozświecać. Na pozór wszystko było spokojnie. Czołgaliśmy się chmielnikiem jak węże, psy jednakże zwietrzyły nas i poczęły ujadać. Naraz ujrzeliśmy ciemne sylwetki kilku postaci ludzkich, stojących koło płotu i wiodących półgłośną rozmowę.

Przysiedliśmy natychmiast w chmielniku. Tymczasem głosy umilkły, a jedna z czarnych postaci, przechyliwszy się przez płot, pilnie patrzyła w gąszcze. Potem z ciemności doszła nas znów francuska rozmowa.

— Czego tam patrzycie, kumie Grousbert?

— Psy szczekają; a ot tam się coś porusza.

— E, nie! Księżyc wschodzi, to psy zwyczajnie niespokojne.

Inny głos dodał:

— A może to dusze umarłych? Mówią, że psy czują dusze ludzkie.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

Poczem doleciały nas westchnienia.

Mirza szepnął do mnie:

— Patrole tu muszą być.

Na drodze znowu poczęła się rozmowa, ale jeszcze cichsza i jakby tajemnicza.

— Wilki także się włóczą. Wojna mnoży wilki razem ze wszystkiem złem.

— Hej, taka dziś była zorza czerwona! Musieli się znowu gdzieś bić.

— Mer mówił, że znowu przyjdą do nas prusaki.

— Niech nas święty Hubert od nich strzeże.

Selim wówczas podniósł się z kryjówki i zawołał:

— Hop, hop, ludzie! którędy droga do pana La Grange?

— O, o! — zawołały wystraszone głosy. — A wyście co za jedni?

— Do dziś żołnierze, jutro co Bóg zdarzy! Pokażcie drogę i nie pytajcie.

Jeden z wieśniaków rzekł:

— Ja was zaprowadzę.

Poszliśmy szeroką wioskową aleją. Ciemno w niej było tak, żeśmy nie mogli widzieć jeden drugiego. Po kilku set krokach zwróciliśmy nagle na prawo. Przed oczyma naszemi ukazał się w dali nie wielki kościół, otoczony białym, nizkim murem, a bliżej ogromna masa drzew, wśród której połyskiwały oświecone okna. Wieśniak rzekł:

— Tam kościół Św. Huberta, a tu mieszka La Grange.

Znaleźliśmy się wśród parku zarosłego tak gęsto, że gałęzie przesłaniały aleje i ścieżki. Park ten wydawał się całkiem zapuszczony. Piękny dom w kształcie szaletu szwajcarskiego stał w środku, ale tak był pokryty dzikiem winem, czy inną jakąś pnącą się rośliną, że oświecone jego okna spoglądały, jak oczy z pod maski.

Drzwi od przedsionka były otwarte, weszliśmy więc, nie widząc, ani pytając nikogo. W przedsionku nie było światła, ale księżyc stał w szybach i świecił tak jasno, żeśmy mogli odróżnić wszystko; stół w środku, pod ścianami szafy, a na nich bukiety z zeschłych kłosów.

Marx zastukał karabinem w podłogę. Wówczas usłyszeliśmy kroki; drzwi przyległego pokoju otworzyły się, jakaś postać kobieca — zapewne służącej — pokazała się w nich i jeszcze prędzej znikła, jak gdybywystraszona. Marx stukał coraz mocniej.

Po chwili ukazała się też sama postać z lampą w ręku, a za nią staruszek z białemi jak mleko włosami. Zbliżywszy się, zasłonił ręką oczy i spytał powolnym, łagodnym, ale bardzo podniesionym głosem:

— Czegóż robicie tyle hałasu, moi przyjaciele?

Potem osłonił ręką ucho i spytał:

— A?

Jeżeli i robiliśmy hałas, biedny staruszek nie słyszał go z pewnością, widocznie był przygłuchy.

— Przypominam się panu! — zawołał, pochyliwszy się do jego ucha Mirza.

Starzec spojrzał na niego, zebrał się z pamięcią, pomyślał, nakoniec rzekł:

— A to wy, hrabio?

Potem rzekł do siebie, ale zupełnie głośno:

— Co on robi w tych stronach?

— Zaciągam się do wojska — odparł Mirza.

— A witam, witam uprzejmie. Co?

Selim przedstawił mnie i Marxa, poczem starzec zaprosił nas dalej, ale musieliśmy się przebrać, bo wyglądaliśmy jak dziady. Służąca wskazała nam osobny pokój.

Podczas przebierania się Mirza rzekł:

— Zestarzał się jak grzyb i zdziecinniał.

— Co ty możesz mieć do niego za interes? On sam o sobie już nic nie wie!

— Pomówimy o wszystkiem dziś w nocy.

Poczem zeszliśmy na dół.

Starzec już czekał na nas koło zastawionego stołu, na którym położono świeże nakrycia, a po chwili jeszcze weszła młoda, piękna panna, wysoka, z przepyszną talią i czarnemi włosami. La Grange przedstawił ją, jako swoją wnuczkę.

Ukłoniłem się dość obojętnie w milczeniu; nagle spostrzegłem coś, co zdziwiło mnie do wysokiego stopnia.

Oto panna La Grange, ujrzawszy Mirzę, zbladła jak płótno, a on nie mniej był wzruszony.

— Widzę, że miał powody tu przybyć — pomyślałem.

Siedliśmy do wieczerzy i wieczerzaliśmy w milczeniu. W tych czasach wojny ludzie nie ronili słów napróżno, a każdy mówił przyciszonym głosem, jakby w obawie i oczekiwaniu.

Zresztą, było coś między Selimem i panną La Grange. Ona unikała jego wzroku, ale spoglądała na niego jakoś dziwnie, gdy na nią nie patrzył. On napróżno starał się zawiązać rozmowę. Milczenie owo stawało się wreszcie przykrem, aż w końcu wieczerzy dopiero starzec spojrzał nagle w sufit i odezwał się ni w pięć, ni w dziewięć.

— Poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, tak to czwartek.

Po wieczerzy Mirza wziął go pod rękę i poszedł z nim rozmawiać do drugiego pokoju. Zdaje mi się, że prosił go o przewodnika, ale zresztą rozmowy tej, lubo bardzo głośnej, nie mogłem posłyszeć; siadłem bowiem koło panny La Grange i starałem się ją bawić.

W każdym innym razie poszłoby mi to z łatwością. Panna była bardzo ładna, sympatyczna, miała czarne, rozumne oczy i śliczne ręce o palcach zwężonych na końcu, któremi jakby przez kokieteryę poprawiała od czasu do czasu włosy. Tym razem jednak rozmowa nie szła. Ja byłem zmęczony, a panna La Grange roztargniona.

Spytałem ją wreszcie, jak dawno zna Mirzę.

Wówczas ożywiła się, ale zamiast odpowiedzieć, ona z kolei zaczęła wypytywać mnie, dlaczego przybyliśmy w te strony? Odrzekłem, że mi wszystko jedno, gdzie się bić, ale Mirza uparł się, żeby to było w tym departamencie. Zaciekawienie i gorączkowa jej niespokojność rosły. Może starałbym się ją wybadać, ale upadałem ze znużenia. Marx usnął w fotelu i chrapał, myślałem więcej o śnie niż o wszystkich pannach.

Tymczasem Mirza ze starcem ukazali się z drugiego pokoju. Staruszek teraz siadł przy mnie i chwyciwszy mnie za kolano, począł pleść trzy po trzy, robiąc przytem o wiele naprzód wszystkie giesty, które miały służyć jako ilustracya jego słów. Przez ten czas Mirza zbliżył się do panny La Grange. Usłyszałem, że zamieniali ze sobą szybkie słowa, przyczem Mirza zdawał się błagać o coś natarczywie. Usłyszałem tylko jeden frazes: „wszystko wyjaśnię!‟ ale w tej chwili znowu staruszek zrobił parę giestów naprzód, potem rzekł:

— Będziecie spali w drugim domu... Tylko otworzyć tylne drzwi i zaraz chmielnik... aż do lasu.

Potem otoczył dłonią ucho i spytał:

— A?

Nakoniec poszliśmy spać. Drugi ten dom leżał w głębi parku, o kilkadziesiąt kroków od szaletu. Widocznie nikt w nim nie mieszkał, gdyśmy bowiem weszli do środka, uderzył mnie zapach pustki i chmielu, który się suszył na górze. Ale jedna izba była ogarnięta, na podłodze zaś jej leżały trzy materace, zasłane poduszkami i bielizną. Tak wygodnego posłania nie widziałem już dawno, dlatego rzuciłem się na nie natychmiast, nie pomyślawszy o rozebraniu się. Selim i Marx położyli się także nierozebrani, wszyscy zaś mieliśmy karabiny pod ręką od wypadku.

Mirza rzekł:

— Słuchaj! nadeszła chwila, w której muszę ci wyznać i wyjaśnić wszystko...

Tyle też tylko słyszałem z tych wyjaśnień, bo natychmiast usnąłem jak suseł, i mogę powiedzieć, że spałem ze wszystkich sił, nie więcej jednak, jak parę godzin.

Koło drugiej rozbudziłem się nagle.

Z początku nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem, po chwili jednak strząsnąłem z głowy zdrętwiałość i spojrzałem w okna, naprzeciw których leżały nasze posłania.

Słaby różowy odblask, jakby zorzy, świecił przez szyby.

Ale nie była to zorza, była to łuna dalekiego pożaru.

— Pali się — pomyślałem, nie myśląc zresztą wstawać z ogrzanego posłania. Muszą się bić w tamtej stronie.

Tak też i było.

Wkrótce uszu moich doszedł daleki, daleki odgłos strzałów rotowych.

Strzały te odległe, przytłumione, a szybkie i prawidłowe, jak muzyczna gama, to ustawały chwilami, to odzywały się z nową energią.

W przestankach słyszałem chrapanie Marxa.

Po niejakim czasie zdawało mi się, że strzały się zbliżają, przytem jeden i drugi wystrzał armatni wstrząsnął szybami, które zadźwięczały żałośnie. Nie chciało mi się jeszcze wstawać, ale, na wszelki wypadek, postanowiłem rozbudzić Mirzę.

— Selim! — zawołałem.

Selim nie odpowiadał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

51) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO

(Ciąg dalszy.)

— Nie bój się, Fanchon, — rzekł Ryszard, — to są moi rodzice, którzy chcą cię poznać. Nie mówiłem ci, że jestem synem jednego z najbogatszych lordów angielskich, bo chciałem, abyś kochała mnie samego, a nie moje nazwisko i mój majątek! Pójdź najdroższa, przywitaj moją matkę.....

Lady Wiktoria wyciągnęła ręce i objęła czule śliczną główkę dziewczęcia.

— Ach, jaka pani dobra jesteś, — zawołała Fanchon wzruszona, — jakże cię kochać będę!

— Nie chodzi nam bynajmniej o miłość pani, — rzekł teraz lord William rozgniewany. — Przyznaję, że jesteś piękną i wierzę, że jesteś cnotliwą, ale żoną mego syna nie zostaniesz nigdy! Lord Ryszard Corrigan nie może się żenić z córką prostego mieszczanina. Ale, abyś zbyt wielkiego nie doznała rozczarowania i zawodu, ofiaruję się chętnie wynagrodzić ci to znaczną sumą....

— O czem mówisz, milordzie, — szepnęła Fanchon zdumiona, — ja tego nie rozumiem!

— No, więc mówmy wyraźniej, moje dziecko! Syn nasz bawił się twem sercem, czego mu wcale nie pochwa-



— Wyprowadź mnie ztąd — jękła, zasłaniając ręce Fanchon.

lam, bo jest to pewne zaciągnienie długu wobec ciebie, i za ten dług ja muszę odpowiadać! Ale wyznacz mi sama — sumę, jakiej żądasz za zwolnienie go ze słowa, danego ci dosyć lekkomyślnie. Jest to zupełnie w porządku, że ojciec płaci długi syna!

— Ojcze, — krzyknął Ryszard, — jak możesz w ten sposób obrażać bezbronną dziewczynę!

— Ah, to nie jest obraza i panna Greffin zna pewnie dobrze wartość pieniędzy! Nie byłby to pierwszy i ostatni taki wypadek! Myślisz pani, że sto tysięcy franków wystarczy?

Fanchon zwróciła się do Ryszarda.

— Wyprowadź mnie ztąd, — jękła, załamując ręce, — ja myślałam. że idę do twoich rodziców, a nie do ludzi, frymarczących najświętszemi uczuciami, jak towarem!

— Zaraz! — odrzekł Ryszard. — Więc nie pozwolisz mi ojcze na zaślubienie Fanchon Greffin?

— Nie!

— W takim razie ożenię się z nią bez twego pozwolenia! I to o ile możności jutro!

— Doprawdy! Z czego chcesz żyć, mój kochany? Bo na moje pieniężne wsparcie liczyć nie możesz!

— Nie, ale mam zdrowe ręce i mogę żonę wyżywić.

— A ja będę pracować razem z tobą! — zawołała Fanchon.

— Będą to ogromne dochody, — szydził lord. — Czem chcesz zarobić trochę pieniędzy? Może śpiewem lub tańcem!

— Jestem baletniczką w Wielkiej Operze, — odrzekła Fanchon, — i pobieram siedemdziesiąt franków miesięcznie.

Lady Wiktoria krzyknęła i załamała ręce.

— Baletniczką! O Boże! Jak mogłeś uczynić podobny wybór, Ryszardzie! Nie, na małżeństwo z baletniczką i ja nie mogę pozwolić!

— Fanchon jest czystą i niewinną jak anioł, — odpowiedział Ryszard spokojnie, — inaczej nie byłbym jej pokochał, i nie żądałbym, abyście ją za synową uznali!

Lord William zbliżył się teraz do syna i położył mu rękę na ramieniu.

— Nie mogę ci przeszkodzić w popełnieniu wielkiego głupstwa, — rzekł z ironicznym uśmiechem, — którego wkrótce mocno pożałujesz! Ale to jedno przysięgam ci, — dodał szorstko, — że ta dziewczyna, której nazwisko wała się po afiszach teatralnych, nigdy lady Corrigan nie będzie!

— Ryszardzie, usłuchaj twego ojca, — zawołała Fanchon płacząc, — nie chciałabym za nic w świecie, abyś miał się dla mnie wyrzec nazwiska i majątku! Takiej ofiary przyjąć nie mogę!

— Nie, — odparł Ryszard stanowczo, — ja mego słowa nie cofnę! Nie chcę pieniędzy, one nie dadzą mi szczęścia bez mojej Fanchon! Nie przestanę was kochać i szanować, drodzy rodzice, ale miłości mojej nie wyrzeknę się.

— Pójdź Fanchon! dosyć już znieśliśmy tu upokorzenia!

— Od tej chwili przestajesz się nazywać Corrigan, krzyknął lord z wściekłością, — nie masz żadnego prawa do tego nazwiska!

— Jakto? Nie mam prawa? W takim razie nie jestem chyba twoim synem!

— Milcz!

Lord William, uniesiony gniewem, zapomniał się tak dalece, że z podniesioną ręką przyskoczył do syna chcąc go uderzyć, i kto wie, na czem byłaby się straszna scena skończyła, gdyby w tejże chwili lady Wiktorja nie była upadła zemdlona na ziemię!

Ryszard przyskoczył, chcąc ją ratować, ale ojciec odepchnął go.

— Nie masz — nie ma pan tu już nic do czynienia, — rzekł pogardliwie, — Nie dotykaj lady Corrigan, ona dla ciebie zupełnie jest obcą!

Ryszard i Fanchon wyszli z salonu.

— Co znaczyły te słowa ojca? — myślał, wracając do domu. — Ja nie mam prawa do mego nazwiska — moja matka jest mi obcą — nie rozumiem tego!

I smutne jakieś przeczucie ogarnęło jego serce, nawet obecność ukochanej Fanchon nie zdoła go pocieszyć. Dzień dzisiejszy zniweczył wszystkie prawie jego nadzieje.

ROZDZIAŁ LXX.

Spowiedź lorda.

Lord William sam zajął się trzeźwieniem żony i wkrótce odzyskała lady Wiktorja przytomność.

— Zamknij drzwi, — szepnęła rozkazująco, tak, że lord zdumiał, nie przyzwyczajony do takiego tonu. — I

teraz pójdź, usiądź koło mnie — rozmawiajmy po cichu, bo zdaje mi się, że to, co mamy sobie do powiedzenia nie powinien nikt inny słyszeć, a ściany mają często, jak wiadomo, uszy.

Lord William, zwykle tak szorstki i despotyczny był teraz dziwnie zmieszany i wypełniał szybko wszystkie rozkazy żony.

— O czem chcesz ze mną mówić? — zapytał ze spuszczonemi oczami. — Słyszałaś przecież, że Ryszard nie chce się wyrzec swej baletniczki i że kocha więcej tę dziewczynę, niż nas!

— Powiedz mi, — zaczęła teraz lady Wiktorja, — co znaczyły twoje słowa, że Ryszard nie ma prawa do nazwiska Corrigan? A ja żądam prawdy, i jeżeli jesteś uczciwym człowiekiem, to nie zbędziesz mnie kłamstwem! Ja chcę wiedzieć prawdę!

Lord William zadrżał, zimny pot wystąpił mu na czoło.

— Tak jest w istocie, — szepnął, — Ryszard nie jest. — —

— On nie jest naszym synem? — krzyknęła lady Wiktorja przerażona.

— On jest moim synem, ale nie twoim!

— Co, Ryszard nie jest moim synem?

Nieszczęśliwa kobieta zapomniała wszelkiej ostrożności i krzyczała głośno.

— Ale jak to być może? Przecież ja urodziłam dziecko — co się więc z niem stało? O, powiedz mi, Williamie, odkryj mi tę tajemnicę, bo przysięgam ci, że jeżeli mi nie powiesz prawdy, to pójdę na sąd i rozgłoszę publicznie naszą hańbę!

Lord Corrigan poznał, że zaszedł już za daleko, i że już cofnąć się nie może.

Najlepiej wyznać teraz wszystko, pomyślał, a zwracając się do żony rzekł stanowczo:

— Powiem ci wszystko! Nie mam powodu tajenia dłużej prawdy; przyrzekłem sobie wprawdzie, że tajemnicę tę zabiorę ze sobą do grobu, ale postępowanie Ryszarda zmusza mnie do zmienienia mego zdania. Ryszard zatem nie jest twoim synem, tylko synem owej Francuzki, Nadiny!

— Dalej, dalej! — jękła lady Wiktorja. — Zaczynam się wszystko domyślać!

— Jak i co było, o to mniejsze, — mówił lord dalej, — dosyć, że ty powiłaś córkę, Nadina syna, i że ja dzieci te zamieniłem..... Niedługo potem zerwałem z Nadiną —. była to fałszywa i zła kobieta — dałem jej znaczną sumę pieniędzy, wróciła do Francyi, i odtąd nic o niej nie słyszałem, daję ci na to słowo honoru! Możesz mnie teraz potępić — ja sam nie wybaczę sobie nigdy tego czynu, ale chciałem koniecznie mieć syna! To jedno może mnie trochę uniewinnić!

— A co się stało z mojem dzieckiem? — zapytała lady Wiktorja, patrząc na męża błędnemi oczami.

Lord milczał.

— Co się stało z mojem dzieckiem? — powtórzyła, szarpiąc jego ramię. — odpowiadaj nędzniku!

Cichym, wymownym głosem opowiedział lord wszystko — a żona jego słuchała, nie dowierzając własnym swoim uszom.

— I ty to uczyniłeś! — rzekła z dziwnym wyrazem twarzy. — Ty ojciec!

— Nadina namówiła mnie do tego. Podła ta kobieta nie chciała zatrzymać dziecka u siebie, i ona pierwsza wpadła na myśl usunięcia go w ten sposób!

— Jej się nie dziwię, ale tobie! Ojciec! Rodzony ojciec! — powtarzała lady Wiktorya jak nieprzytomna.

— Kobieta, której dziecko dałem, miała co kwartał umieścić anons w Times, czy dziecko żyje, ale anonsu tego nie czytałem ani razu!

— O ty wyrodny ojcze! — zawołała lady, wybuchając głośnym płaczem, — czy ty nie miałeś ani serca, ani sumienia? Dziecko tej nędznicy leżało w jedwabiach i koronkach — karmiłam je własnem mlekiem, czuwałam nad niem, pieściłam je, a moja córka — oddana w ręce zbrodniarki, wychowywała się w nędzy i grzechu — nikt się o nią nie starał, nikt jej nie kochał, i kto wie, co się z nią stało! O, jakże nieszczęśliwą jestem matką! A wszystko z twojej winy! Niech ci Bóg wybaczy — ja nie mogę!

— Chciałbym chętnie odszukać naszą córkę, — rzekł lord pokornie, — ale gdybyśmy ją znaleźli — sprawiłoby nam to dużo kłopotu... —

— Kłopotu? Ja myślę, że byłoby dla nas największem szczęściem, — krzyknęła lady Wiktorya w uniesieniu.

— I powiedziałabyś Ryszardowi, że — że — nie jesteś jego matką — że on nie ma prawa do nas. — —

— Ależ ja kocham go, — zawołała, — kocham go serdecznie! Dwadzieścia i trzy lat uważałam go za syna — taka miłość nie znika w jednej chwili! będę go zawsze kochać jak syna, ale to nie przeszkadza, abym obok niego nie kochała swoje własne dziecko! O szukaj moją córkę! Tylko tem możesz chociaż w części wynagrodzić złe, jakie jej i mnie wyrządziłeś! Jak się nazywa kobieta, której ją oddałeś?

— Była to Wiedeńka — nazwisko jej Hilbert!

W tej samej chwili dał się słyszeć za ścianą salonu cichy szelest.

— Nie słyszałaś nic? — szepnął lord. — Zdawało mi się, że tam, za ścianą, poruszyło się coś...

— Nie!

— Czyżby nas kto podsłuchiwał? Byłoby to okropnie!

— Nie, nie, powiedz mi tyklo, czy ta kobieta została tutaj?

— Nie, mówiła mi, że wróci do Wiednia!

— A mąż jej?

— Mąż jej był wówczas tutaj w więzieniu!

— O Boże, i to taki człowiek wychowywał moją córkę! Jutro jedziemy do Wiednia! Rozumiesz?

— Dziwnie wyrażasz twe życzenia!

— Nie życzenia, tylko rozkazy! Słuchaj teraz! Jeżeli nie poruszysz nieba i ziemi na odnalezienie mego dziecka — jeżeli nie uczynisz wszystko, co człowiek uczynić może — to pójdę na sąd i oskarżę cię o zamianę dzieci.

— Wiesz, jaka za to jest kara!

Lord William spuścił głowę i milczał. W sercu jego ciężka toczyła się walka, wiedział jednak, że zrozpaczona matka na wszystko się odważyć gotowa i dla tego — ustąpił.

— Zdaje mi się, — rzekł łagodnie, — że do Wiednia nie potrzebujemy jechać tak nagle. Zapytam telegramem tamtejszej policyi, czy tam mieszkają jacy Hilbertowie i czem są, czy mają córkę — w jakim wieku i tak dalej. Po otrzymaniu wiadomości możemy zawsze jeszcze jechać!

— To prawda. Ale teraz odejdź, chcę być sama!

— Co będzie z Ryszardem? Zostawimy go tutaj? Pozwolimy mu się ożenić z tą baletniczką?

— Ach, pomówimy o tem później! Mnie się wszystko w głowie miesza, nie mogę zebrać myśli!

Lord William wyszedł.

Lady Wiktorya zamknęła za nim drzwi na klucz i usiadłszy na kanapie, znowu płakać zaczęła. Ile ona w tej ostatniej godzinie wycierpiała, tego opisać nie podobno, to chyba sercem tylko odczuć można!

— Boże mój! — zawołała głośno, — gdybym chociaż wiedziała, że córka moja żyje!

— Ona żyje, — odezwał się za ścianą dźwięczny głos męzki, — ona żyje, i jest godną swej szlachetnej matki.

Lady Wiktorya zerwała się jak szalona.

— Co to jest! Kto mówi do mnie! — wołała, biegnąc ku ścianie. — Czy ja już zmysły straciłam?

W tejże chwili zapukano do drzwi, lady otworzyła je, i przed nią stanął młody, elegancko ubrany mężczyzna, o pięknej, sympatycznej twarzy.

— Wybacz pani, — rzekł, kłaniając się nizko, — że śmiałem przeszkodzić — ale pragnąłbym koniecznie z panią się rozmówić. Sądzę, że jest to ważnem dla pani i dla innej jeszcze osoby.....

— Wejdź pan, proszę, — szepnęła lady Wiktorya nie mogąc ochłonąć z przerażenia i zdumienia. — Jak się pan nazywasz?

— Maksymilian Dorn!

— Jesteś pan Niemcem?

— Nie, Węgrem! Ale nie mówmy o mnie tylko o tej, o której pani myślałaś.....

(Ciąg dalszy nastąpi.)